

# W DRODZE

PISMO POLITYCZNE I LITERACKIE

Nr. 2 (64)

Jerozolima, 16 lutego 1946

Rok IV

TYMON TERLECKI

## O RELIGIE KULTURY

ODDALILIŚMY się od ostatniej wojny. Na tyle, aby móc ją już ogarnąć jako całość. Jesteśmy tak blisko zrodzonego z tej wojny pokoju, że dla zrozumienia czegokolwiek, dla wytworzenia jakiegos poglądu trzeba forsownie dobierać się do jego zawartości, trzeba jakby przez spektroskop rozszczepiać jego elementy składowe.

Jedno, uderzające w oczy, dotkliwe spostrzeżenie: przesunięcie wartości między wojną a pokojem. Z dzisiejszej perspektywy wojna — z całym swoim okrucieństwem, bezwzględnością, potwornością — była pokojem. Dopiero ten najbardziej niepojęty, najbardziej niespokojny z pokojów wydaje się straszliwą rozgrywką, wydaje się — wojną właściwą.

Przedtem istniał mniej więcej jasny układ napięć, w pewnej chwili nawet precyzyjnie jasny, teraz wszedł w jego miejsce chaos, rozdrobnienie, rozbieżne pragnień i dążeń. Klimat psychiczny świata uproszczony do nielicznych, dwu, trzech, ciśnień elementarnych stał się teraz igrzyskiem wirów, sprzecznych prądów. W porównaniu z obecnym pokojem wojna miniona wydaje się stanem znacznego uporządkowania, scalkowania życia. Ten pokój nie jest przystanią ciszy, nie jest nawet miejscem spokojnego wytchnienia. Jest w nim chwilami trudniej oddychać niż w wojnie.

Z tego pozornego paradoksu można by sądzić, że piszący niniejsze słowa jest potomkiem Marinettiego, wyznawcą idei streszczonej w tytule książki z r. 1915: „Guerra, sola hygiene del mondo”.

Ala byłoby to wrażenie przedczesne i conajmniej niesłuszne. Przecistawienie wojny i pokoju pynie tu z innych źródeł i ma inny cel na widoku. Zdąży do stwierdzenia, że chorobliwość tego pokoju nie da się pojąć i wytłomaczyć poza biochemią ostatniej wojny. Drugi pokój naszego pokolenia — jak każdy pokój — jest dziedzicznie obciążony wojną, która wydała go na świat, nosi jej znamie, płaci jej grzechy i — rachunki.

Druga wojna światowa zaczęła się w innej płaszczyźnie, w innym wymiarze niż się skończyła. Zaczęła się jako wojna ideologiczna, skończyła się jako wojna bezideowa, więcej: jako wojna zaprzeczająca sama siebie, zaprzeczająca swemu punktowi wyjścia. Po zostanie ona w historii jako wojna ze zwiniętą osią, jako wojna z przełamanym kręgosłupem — podobna budowlom gotyku, na których zaciążyła, w których utrwaliła się wespół ze wzlotem wyobraźni pomyłka w wyliczeniu.

W przeszłości prowadzono wojny imperialistyczne, dynastyczne, religijne, wojny o wpływy lub granice, ale miały one szerszy lub węższy zasięg lokalny, były przedsięwzięciami na małą skalę, można powiedzieć: przemyśłem chałupniczym. Wcale lub rzadko wprowadzały one w grę podstawowe założenia bytu zbiorowego. Jeśli to się działo: akcje zaczepne jak Wyprawy Krzyżowe, czy działania defensywne jak obrona Wiednia, urastały do wymiarów symbolu.

Było tak póki powiązanie życia, współzależność była bardzo niewielka, przynajmniej nie tak wielka jak dzisiaj. Dziś doszliśmy do tego stopnia rozwoju, że wojny niemal nieuchronnie urastają do skali kontynentalnej i globalnej, planetarnej, są przemysłem trustowym w najwyższej skali, angażują nie jednostki, nie klasy, ale całe społeczeństwa, nie specjalistów, ale wszystkich.

W tej epoce nie warto, nie można prowadzić wojny bez idei kultury. Bez określonej idei kultury wojny prowadzić nie wolno — pod groźbą daremności, pod groźbą klęski.

Po upadku Francji Jacques Maritain miał ostrą świadomość tego, co się stało. Poza usprawiedliwieniem, wzruszającą, szlachetną obroną swego kraju zdobył się wtedy, w książce „A travers le désastre”, na precyzyjne określenie trwającej wojny, jako: „une guerre de civilisation” — wojny w imię, w obronie, z natchnienia pewnej koncepcji życia, form przez nich powołanych, pomników ją potwierdzających, pamięci przedłużającej jej nie poprzez stulecia.

Dla nikogo z nas, którzy świadomie przeżyliśmy ostatnią wojnę nie ulegało wątpliwości, że była to rozprawa, podjęta w obronie określonego systemu wartości, w obronie określonego kształtu kultury. Narzucało się to tak oczywiście, że trudno by to uważać za sztuczną nadbudowę, za konstrukcję propagandową. Było to jasnowidzenie instynktu —

odezucie odruchowe, angażujące całość naszej psychiki, mające znamiona absolutnej pewności.

Właśnie ono musiało leżeć u dna decyzji polskiej w porywczym, pełnym złudzeń wrześniu 1939. Właśnie ono było już w pełni uświadomionym, jasno widzianym motywem desperackiej decyzji angielskiej w czarnym czerwcu 1940.

W dalszym toku wojny ta oczywistość przełamała się, zaczęła coraz bardziej schodzić na plan drugi, wreszcie — zatarła się bez śladu. Odwróciła się całkowicie dialektyka wojny poprzedniej. Zaczęła się ona — od kalkulacji „power politics”, a skończyła się spięciem idei. Ostatnia, porzuciwszy ideę, uciekała się do kalkulacji na bardziej hazardową skalę. Nie Wersal, ale Kongres Wiedeński stał się jej mirażem, mitem przewodnim, meta, do której zaczęła zdążyć. „The Times”, główny organ tego cywilizacyjnego zaprzęstwa, jeszcze w czasie toczącej się rozgrywki zapisywał Wiedniowi na dobro, iż „nie liżył się z uczuciami i oderwanymi ideami...”

Kto ponosi winę za skrzywienie kośca ostatniej wojny? Narody Zachodu przez słabość stanowiska, Rosja Sowiecka przez czynne przeciw niemu działanie. Jest to grzech „per omissionem” i grzech popełniony świadomie. Egoizm samozachowania spotkał się z egoizmem samowładztwa, z odwiecznym upiorem Monomacha. Postawa wyrachowana, samoszczędzająca się, przyjęła dyktat rozrzuconej, dynamicznej hysterii władczej. Poddała się, poddanie nazwała zwycięstwem.

Czy można było tego skrzywienia uniknąć? To pytanie należy do rodzaju zagadek, od których roi się historia, których rozwiązanie jest bezinteresowną grą intelektualną, zabawą umysłów, wprawionych do poruszania się w przestrzeni beztenowej.

Na płaszczyźnie tych tutaj — nie politycznych, nie strategicznych, ale moralistycznych — rozważań, odpowiedź jest tylko jedna: nie wiadomo czy było możliwe, wiadomo, że było konieczne i obowiązujące. Bo nie warto prowadzić wojny bez określonej idei kultury. Pod groźbą daremności, pod groźbą klęski, takiej wojny prowadzić nie wolno.

W następstwie tego co się stało jesteśmy w życiu jednej generacji uczestnikami dwu pokojów: kruchych, niepełnych, nietrwałych. Pierwszy ledwie pozwolił na odchowianie w

nim urodzonych dla nowej wojny. Drugi jest od narodzin naznaczony groźnym piętnem. Jest pokojem czystej neurozy: za jasnego dnia nachyla się nad nim „pavor nocturnus”.

Gdy bliżej weń wejrzeć przedstawia on podwójne zaprzeczenie punktu wyjściowego: jest zagrobowym zwycięstwem nazizmu i szansą zwycięstwa komunizmu, który zakłada zniszczenie wszelkiego ustroju inorodnego.

Istnieje zawsze niebezpieczeństwo zakażenia się ideologią wroga. Trudno zachować antyseptyczne ostrożności w spięciu zmagających się ramion, w pomieszaniu oddechów — rostrzyga tu tylko odporność własnego organizmu. Paradoks ostatniej wojny stanowi to, że ta nieunikniona infekcja spotkała się z infekcją, idącą od jednego ze sprzymierzeńców. Powstało zakażenie — jakby podwójne, jakby o dwu źródłach: jednym — zewnętrznym, drugim — wewnętrznym. Zakażenie, na które nie pomoże dezynfekcja pokoju. Trzeba dezynfekcji dusz: spowiedzi powszechnej, czy psychoanalizy.

U dna hitleryzmu, u dna każdej ideologii totalnej, leży zwątpienie w człowieka, w indywidualność ludzką. A o nią to przecie, każda z osobna, troszczy się religia, wszelka religia, o niej to nauka chrześcijańska mówi przypowieścią o stu owieczkach, które się zastawia, aby ratować — jedną. Od zwątpienia w indywidualność ludzką, jej świętość, prowadzi prosta konsekwencja do przekreślenia osobowości narodowych, ich praw do życia i rozwoju. Z pogromu ostaje się tylko zbiorowość, która ma odwagę takiego wspaniałego nihilizmu. On to czyni z niej pośrodku „minderwertige Nationen” nad-naród samozwanych królów stworzenia, jej oddaje monopol na przestrzeń życiową i wszystko co w niej jest.

Zwycięzcy hitleryzmu — jedni w zgodzie z sobą, drudzy mniej lub więcej na przekór sobie, przyjęli zwątpienie w naród. Tym samym, cokolwiek by się na ten temat powiedziało, uznali punkt wyjścia: zwątpienie w człowieka. Jest to ten sam krąg myślenia — tylko zamknięty od przeciwniej strony.

Właśnie ten krąg myślenia dał początek idei bloków przestrzennych, osławionych „stref wpływów”. Wydaje się ona do głębi, do dna antykulturalna i niemoralna. Będzie kiedyś — jeśli to „kiedyś” nadejdzie — uznana za ideę równie barbarzyńską jak niewol-

### W numerze:

Wł. Bączkowski: Polityka sowiecka w Azji. — Andrzej Pomian: Szabla i książka. — Zygmunt Nowakowski: Lutnia po Tarnowskim. — Witold Turno: Polski bohater Conrada. — Kazimierz Wierzyński: Wiersze: Klechda. O nagłej burzy. Szum. — em.: W oczach Zachodu. — wp.: Ani pokój, ani wojna... (Przegląd polityczny). — O Adolfie Nowaczyńskim. — Kronika kulturalna: Nowe książki. Czasopisma. Muzyka. Teatr.

ALEKSANDER JANTA-POŁCZYŃSKI

## Da capo senza fine...

*Wspomnień dalekie drogie dotknięcie  
dawna obecność oczom już obca  
jak wstrząs powraca jak cios jak cięcie*

*dawna obecność oczom już obca  
do serca wbija kolce i drzazgi  
druć z granicznego odarty kopca*

*do serca wbija kolce i drzazgi  
kiedys kształt brzmienie błysk albo zapach  
niedocenione w życiu drobiazgi*

*kiedys kształt brzmienie błysk albo zapach  
owoc ulica barwa soczysta  
droga szeroka śnieg na okapach*

*owoc ulica barwa soczysta  
puls ziemi wiosną wiatru zew mocny  
las wniebowspięty nasz organista*

*puls ziemi wiosną wiatru zew mocny  
myśli nabrzmiałe młodością chmurną  
pod powiekami jak sen conocny*

*myśli nabrzmiałe młodością chmurną  
wsluchaj się wczuj się pustkę masz w rękach  
popiół któremu serce jest urną*

*wsluchaj się wczuj się pustkę masz w rękach  
świat nie zrozumie a ty pamiętasz  
drzewa w Alejach i bzy w Łazienkach*

*świat nie zrozumie a ty pamiętasz  
inność wyblakłą dziś staroświecko  
kruchych pamiątek twój elementarz*

*inność wyblakłą dziś staroświecko  
ze strychów z piwnic albo z kredensu  
ze świata w którym budzi się dziecko*

*ze strychów z piwnic albo z kredensu  
szeslet jedwabny szepty zawrotne  
to wszystko przecież już nie ma sensu*

*szeslet jedwabny szepty zawrotne  
aromat czaru słodkie sekrety  
półtony smaki sny bezpowrotne*

*aromat czaru słodkie sekrety  
człowiek się nagle w sobie zashucha  
zgubił się idzie drogą bez mety*

*człowiek się nagle w sobie zashucha  
zaciągnąłby się wiatrem znad Wisły  
to tak jak stamtąd wywołać ducha*

*zaciągnąłby się wiatrem znad Wisły  
pachną jesiennych kartoflisk lęty  
tyle uroków i wszystkie prysły*

*pachną jesiennych kartoflisk lęty  
kwitną w pastelach mgieł wrzosowiska  
próżne westchnienia czaże sentymenty*

*kwitną w pastelach mgieł wrzosowiska  
czas z tych pamiątek plecie godzinki  
wiersze odmawia serce i ścisła*

*czas z tych pamiątek plecie godzinki  
wspomnień dalekie drogie dotknięcie  
nawleka słowa w takt katarzynki.*

da capo senza fine

nictwo, jak niewola człowieka u człowieka. W istocie swojej jest ona nawrotem do tej praktyki, tylko w większej skali i z zastosowaniem sztuki nowoczesnego kamuflażu.

Cała poczworność, tępa schematyczność tej koncepcji przebiega się z zarysu nowego, wspaniałego świata w książce Waltera Lippmana: „U.S. War Aims”. Ten, rozbrajający uproszczony zarys obejmuje tylko cztery grupy regionalne: wspólnotę atlantycką (Ameryka Północna, Południowa, Imperium Brytyjskie, Europa Zachodnia z Niemcami, orbita rosyjska (od Pragi — przez Warszawę — do Władywostoku), orbita chińska i ewentualnie (!) orbita hinduska (to „ewentualnie” otwiera możliwość przetargu).

Takie myślenie kategoriami mechanicznymi przeniosło się już na plan kulturalny. Ma ono tam jeszcze półświadomy refleks defensywny, jeśli nie wręcz defetystyczny. Widać to w wywiadzie, udzielonym przez André Malraux pismu genewskiemu „Labyrinthe”, stamtąd przedrukowanym przez dwa pisma: paryski dziennik „Combat” i dużej klasy miesięcznik algijski „Fontaine”. Autor „Le temps du mepris” nie widzi kulturalnej jedności europejskiej; zamiast określenia: kultura europejska, zamiast szerszego określenia: kultura zachodnia używa nowej, znamiennej nazwy: kultura atlantycka, kultura, jakby tyłem odwrócona do Europy, wycofująca się z niej, broniąca się już tylko ariergardą, która zdążyła ku miejscom załadowania na wybrzeżu oceanicznym, czy usiłuje zatrzymać z prawowitego swego dziedzictwa tylko nadmorskie przyczółki.

Idea scalania jest zgodna z duchem cywilizacji europejskiej i zachodniej. W ciągu dziejów przejawia się ona w sposób rozmaity: jako koncepcja drugiego cesarstwa rzymskiego, jako jedność duchowa świata chrześcijańskiego, modląca się i mówiąca kościelną łaciną, jako włoskie renesansowe wyobrażenie życia, żywiące się sokami kultury greckiej i łacińskiej, jako uniwersalizm francuski XVII i XVIII wieku, jako uniwersalizm angielski ubiegłego stulecia. Z ducha cywilizacji europejskiej wyrósł historyczny „Commonwealth” polski. Z jej ducha — mimo tragicznych, krwawych powikłań — wywodzi się federacja Stanów Ameryki Północnej. Do jej kręgu niewątpliwie należy olbrzymi, sporny, ale tak imponujący eksperyment jak brytyjska Wspólnota Narodów.

W pomysłach bloków dążność całkowita jest przeniesiona z płaszczyzny organicznego rozwoju na płaszczyznę mechanicznego przydziału, z płaszczyzny naturalnego, dobrowolnego doboru na płaszczyznę przymusu i gwałtu.

To, co się odbywa w tej chwili z natchnieniem ledwie zakończonej wojny, co jest treścią pochodnego z niej pokoju, trudno nazwać procesem. Jest to — proceder. Jest to zabieg nie tyle skalający, co rozrywający żywotne kompleksy kulturalne. Ma on coś z brutalności chirurgicznej, coś z rzeźnickiego ćwiartowania, coś z beceremonialności barbarzyńców, którzy traktują przestrzeń przeniesioną u nerwionym, ukrwionym, miąszszem kultury, jak dziki no-man's-land, jak ziemię niczyją.

Idea bloków zawiera w sobie, implikuje konieczność koncepcję nad-narodu, czy nad-państwa, stojącego ponad prawem międzynarodowym (nazywa się to w języku politycznym: wielkie mocarstwo albo po prostu „one of the Big”). W tej chwili świat składa się z nielicznych, coraz zazdrośniej zacieśniających swój krąg nad-narodów i z tłumy pod-narodów, które są poza prawem. W takim to niemoralnym efekcie, ugrzązł moralny w istocie apel do ograniczenia suwerenności na rzecz wspólnoty: pomniejszono suwerenność jednych, żeby powiększyć suwerenność innych. Pomniejszono suwerenność tych, dla których jest ona atrybutem moralnym, powiększono suwerenność tych drugich, którzy ją i tak mierzą wymiernikami materialnej potęgi.

Cały ten obrót spraw — nie do obronienia w płaszczyźnie moralnej — legitymuje się często nakazami gospodarczymi, usprawiedliwia się względami politycznymi. W rzeczywistości „współpraca gospodarcza” jest, i niczym innym być nie może, tylko gospodarczym wyzyskiem pod-narodów przydzielonych do strefy wpływów — przez nad-naród, któremu tę strefę oddano we władanie. „Koope-

(Dokończenie na str. 3)



WŁODZIMIERZ BĄCZKOWSKI

# POLITYKA SOWIECKA W AZJI

POLITYKA sowiecka w Azji przedstawia cały kompleks zagadnień, który wpływa zarówno na całokształt polityki czerwonej Rosji, jak i na rozwój stosunków międzynarodowych.

Źródła tej polityki sięgają swymi początkami okresu wojny japońsko-rosyjskiej i rewolucji r. 1905. Klęska poniesiona przez Rosję w owej wojnie odczuła została przez rosyjskie koła radykalne jako niezwykle poniżenie, tym większe, że doznane z ręki „karłów japońskich”, o których w r. 1904 mówili się powszechnie, że wystarczy ich „czapkami zarzucić” (szapkami zakładam), by się poddali i uznali dominację Rosji. W klęsce tej zażądał się całkowitej tradycyjny pogląd rosyjski na „bezwładną” Azję, zaczął się natomiast powoli kształtować eurazjatycki mit nowej Azji, która w przyszłości „zapanuje” nad całym światem.

Drugim momentem, jaki do głębi poruszył i przetrząsnął ówczesne koła postępowe i rewolucyjne — było stwierdzenie, że z klęski rosyjskiej cieszy się prawie cały świat cywilizowany. Zdawano bowiem sobie sprawę, że za plecami Japonii stały interesy i sympatie Wielkiej Brytanii, Stanów Zjednoczonych A.P., że klęskę i wojnę na Dalekim Wschodzie pragnęły wykorzystać i Niemcy i Francja. Klęska ta w dodatku poruszyła ludy Azji, odzyskujące wiarę w twórczy geniusz rasy żółtej, jak i obudziła separatystyczne dążenia Kaukazu, Turkestanu, Ukrainy i innych narodów zamieszkałych w granicach imperium rosyjskiego.

Wizja przyszłości, powstająca w wyobraźni patriotów rosyjskich, kreśliła im obraz zagłady imperium pod zjednoczonymi ciosami Europy i Azji. Jakaż była reakcja rosyjskiej myśli politycznej na tak namiętnie i przesadnie odczuwane niebezpieczeństwo? Względnie taktyczne nakazywały Rosji sprzymierzenie się z jednym z wrogich czynników przeciwko drugiemu — albo z Europą przeciwko Azji, albo z Azją przeciwko Europie. Zdecydowano wybrać Azję. Wpłynęła na to ocena sytuacji międzynarodowej: rywalizacja z W. Brytanią na Wschodzie, narastanie konfliktu z Niemcami i duża nieufność do Europy w ogóle.

Jednym z pierwszych wyrażycieli nieskrystalizowanej jeszcze wówczas idei współpracy z Azją był znakomity chemik rosyjski Miendielejew — mniej znany jako wybitny geopolityk i myśliciel, który w każdej ze swych książek poświęconych zagadnieniom rosyjskim mówił o konieczności nawiązania najszybszych stosunków z Chinami. W swych ostatnich wypowiedziach pisał: „Zawietnyje myśli”, wydanych już po śmierci pisał: „Jest pożądane, by Rosja znowu zawarła jak najściślejszy sojusz polityczny, celny i wszelki inny z Chinami, gdyż jest to kraj wyraźnie budzący się, mający 430.000.000 ludności i wszelkie dane, podobnie jak i Rosja, by stać się najpotężniejszym państwem świata...”

„W przyjaźni z tym największym ludem świata — pisał uczony rosyjski — Rosja może z całym spokojem oczekiwać wielkich przemian i wydarzeń, jakie niesie ze sobą w. XX”. Był to pierwszy głos w Rosji podkreślający rolę Chin jako przyszłego dziejowego sojusznika.

Propozycje Miendielejewa w pierwszej chwili nie wywarły głębokiego wrażenia. W pewnym sensie trafiały jakby w próżnię. Rosja carska była zbyt zniecierliwiona w Azji, by jakiegokolwiek głosu rosyjskie, nawołujące do współpracy, mogły znaleźć oddźwięk. W tym samym jednak czasie wybuch rewolucji 1905 roku wpłynął na zmianę ustosunkowania się ludów azjatyckich do Rosji. Rewolucja ta stała się symbolem walki ze zniecierliwionym caratem i niosła z sobą zapowiedź wyzwolenia socjalnego, odrodzenia moralnego i w dalszej perspektywie — wolności ludów.

Rok więc 1905 zrehabilitował częściowo kolosa rosyjskiego w oczach ludów Azji, tym bardziej, że oddźwięki rewolucji odbiły się głośnie echem daleko poza granicami Rosji. Wedle niektórych pisarzy rosyjskich wpływ rewolucji 1905 roku na ludy Wschodu był większy, aniżeli wpływ Wielkiej Rewolucji francuskiej na ludy europejskie. I tak po r. 1905 wybuchły ruchy w Persji, które doprowadziły do powstania tam parlamentaryzmu; wzmożła się aktywność miodoturków w imperium otomańskim, co utworowało drogę rewolucji 1908 roku. Ruch rewolucyjny w Chinach dał początek republice chińskiej w r. 1911. Również i w Indiach można było zauważyć, po 1905 roku, wzmożone niepokoje rewolucyjne.

Wpływ rewolucji 1905 r. na ustosunkowanie się Azji do Rosji i na wytworzenie nowych zasad rosyjskiej polityki azjatyckiej był jednak w owym czasie niezupełnie jasny. Nieskrystalizowanym i pionierskim poglądom Miendielejewa — jak i niektórym tendencjom rewolucjonistów rosyjskich z tego czasu — nadała wyraźnie określone formy dopiero rewolucja bolszewicka i Lenin. Punktem wyjścia dla koncepcji politycznej tego ostatniego stało się dążenie do rozwiązania zagadnienia przeciwności pomiędzy Wschodem i Zachodem. Problem ten rozstrzygał on przy pomocy idei zespolenia Wschodu i Zachodu w tak zwanej „syntezy proletariackiej”. Nowa, powstająca cywilizacja komunistyczna według zasad markso-leninizmu miała zastąpić wszelkie dotychczasowe formy cywilizacyjne i stać się jedyną „nadnarodową” cywilizacją świata przyszłości.

Dalszy etap pracy Lenina stanowiło opracowywanie zasad polityki narodowościowej (nazwanej później leninowską), którą łączył on w jedną całość z polityką zagraniczną państwa. Bodźcem zaś do wprowadzenia w życie tych zasad stała się dla Lenina sytuacja międzynarodowa Rosji w okresie 1918-1920. Interwencja tzw. „bloku angielsko-francuskiego” z udziałem Japonii na Dalekim Wschodzie godziła zarówno w istnienie nowostworzonego reżymu, jak i w terytorialną całość Rosji. Okres interwencji i wojny domowej dawał więc w zarysie powtórzenie sytuacji z 1905 roku, z ponownym wspólnym wystąpieniem Azji i Europy przeciwko Rosji.

Reakcja Lenina i rosyjskiej myśli politycznej tym razem była łatwa do przewidzenia. Taktyka i strategia leninizmu, wypracowana dotychczas tylko w walce międzypartijnej i w walce z caratem, po raz pierwszy znalazła zastosowanie na szerokiej międzynarodowej arenie. Lenin postanowił „wbicić klin” pomiędzy Azję i Europę, opracować określony plan pozyskania Azji dla wspólnej walki z mocarstwami światowymi. Wyrazem tej polityki było powołanie do życia, w marcu 1919, organizacji Kominternu, który rzucił hasło wyzwolenia socjalnego ludów mających niepodległość polityczną, a więc głównie europejskich. W odniesieniu zaś do ludów kolonialnych i pół-kolonialnych, a więc głównie azjatyckich — hasło podwójnego wyzwolenia: narodowego i socjalnego. W zasadzie niechętny, a nawet wrogi, wszelkim ideom odrębności i wyzwolenia narodowego — Komintern z całą siłą poparł wywołujące tendencje ludów Azji, kierując ich ostrze przeciwko Anglii, Francji, Holandii, Japonii itp.

Jednym z głośniejszych przejawów tej polityki był kongres ludów Wschodu, zorganizowany przez czerwoną Moskwę w r. 1920 w Baku. Na kongres przybyli delegaci z większości krajów Azji, a uchwały ich wyrażały się w namietnym apelu, skierowanym pod adresem krajów azjatyckich, wzywającym do powstania — w sojuszu z Rosją — przeciwko kolonialnym mocarstwom. Ówczesny kierownik Kominternu, G. Zinowiew, na kongresie tym wołał namietnie: „Nie pytamy się, czy nasz towarzysz walki należy do partii komunistycznej. Pytamy jedynie, czy należy do pracujących i uciskanych, czy należy do szeregu pragnących walczyć z imperializmem”.

Kierownikom czerwonej Rosji i zarazem dyrygentom Kominternu przyswiecała w tej akcji wizja całkowitego pokonania świata kapitalistycznego, oparta na przeświadczeniu o budzeniu się politycznym ludów kolorowych i kolonialnych Azji i Afryki. Rewolucja światowa wydawała się bardzo bliska i pewna. Lenin pisał:

„Wynik walki ostatecznie zależy od tego, że Rosja, Indie, Chiny itp. posiadają liczną przewagę w ludzkości. I ta większość ludzkości wciągana jest w ostatnich latach do walki o swe wyzwolenie. Nie można więc mieć wątpliwości, jaki będzie ostateczny wynik walki światowej”.

Ta sama myśl ujęta przez Stalina w jego „Podstawach leninizmu” podkreślała, iż z blisko dwóch miliardów ludności globu — 1.134.000.000 zamieszkuje kolonie i półkolonie, 143.000.000 żyje w Sowietach, 264.000.000 w krajach „pośrednich” i tylko 363.000.000 w krajach wielkich mocarstw. „Jasne jest więc, że rewolucyjne obudzenie krajów kolonialnych jest zapowiedzią końca światowego imperializmu”.

\*\*\*

Walka polityczna, głównie podziemna, czerwonej Rosji z potęgami europejskimi, w pierwszych latach po rewolucji nabrała niebywałego rozmachu. Zorganizowana w Chinach komunistyczna republika chińska, kierowana całkowicie przez Moskwę, liczyła około 100.000.000 ludności i przez szereg lat była bardzo ważnym czynnikiem w sytuacji międzynarodowej. Skutki tego stanu rzeczy obserwuje się do dnia dzisiejszego w postaci istnienia skomunizowanych prowincji chińskich.

Dzięki polityce Sowietów podminowane zostały wpływy Anglii i innych mocarstw na obszarze od Dardaneli do Afganistanu. Pomoc sowiecka rozstrzygnęła o utrzymaniu się kemalizmu w Turcji, zrywającego z dotychczasową ingerencją mocarstw europejskich w sprawy Turcji. Również Iran odrzucił umowę z W. Brytanią z r. 1919, na mocy której Anglia miała decydujące wpływy na całym obszarze państwa. W r. 1920 Afganistan wywołał zatarg zbrojny z Anglią i niepokoję na północno-wschodniej granicy, zagrażające Indiom. Od chwili nawiązania stosunków z Rosją, Afganistan uzyskał pełną niepodległość. Pierwszym dyplomatycznym przedstawicielem tego państwa był ambasador afgański w Moskwie.

We wszystkich — od r. 1920 — ruchach rewolucyjnych i niepodległościowych, a ściślej — a n t y i m p e r i a l i s t y c z n y c h (bo o to tylko chodziło) w całej Azji i częściowo w Afryce maczała palce polityka sowiecka i Komintern. Po r. 1932 polityka ta w związku z zaostreniem się sytuacji w Europie już z pewną ogłębnością obierała kierunki natarcia, co sprawiło wrażenie kurczenia się ofensywy sowiecko-kominternowskiej.

Rozszerzanie się wpływów rosyjsko-sowieckich w Azji odbywało się według ustalonych metod, drogą powolnego opanowywania terenu etapami.

Pierwszy etap ogranicza się do obudzenia negatywnego stosunku do imperializmu i wszelkiej władzy narzuconej z zewnątrz, nie pochodzącej z woli ludu. Gdy te nastroje odpowiednio dojrzały, druga faza niesie ze sobą już rewolucyjne hasła wyzwolenia narodowościowego oraz postulaty głębszych przemian socjalnych. Trzeci etap można scharakteryzować jako „przejściowy”, początkowo umiarkowany system gospodarki socjalistycznej, skąd już jeden krok tylko do skomunizowania i do ostatniego etapu — całkowitego poddania kraju kontroli czerwonej Moskwy, lub też włączenia go w system państwowy Sowietów.

\*\*\*

Wszystkie jednak plany Moskwy zmierzające do pozyskania Azji i wydarcia jej spod wpływów potęg europejskich nie miałyby pełnej wymowy, gdyby nie łączyły się w jedną całość z wielkimi przemianami w geografii gospodarczej Sowietów. Rosja Sowiecka całym swym potencjałem gospodarczym posuwa się w kierunku wschodu. Główna siła ciężkości państwa przenosi się na obszary między Wołgą a Jenisiejem, do środkowej Azji, na Kaukaz i nad brzegi Morza Kaspijskiego. Rozbudową objęta została strefa tundry oraz tajgi syberyjskie, gdzie powstają nowe ośrodki przemysłowe. Az u ujścia Jenisieju, w Norylsku, powstał kombinat przemysłowy. Poważne zmiany zachodzą i na Dalekim Wschodzie, gdzie zbudowano większe miasta przemysłowe, jak Komsomolsk nad Amurem, Magadan, Sowieckaja Gawań i inne. Zdobyte przez Sowietów Port-Artura i odzyskanie wpływów w Mandżurii stwarza nowe perspektywy rozwojowe dla tej części Związku Sowieckiego.

Wybitny wpływ na rozbudowę sowieckiego Wschodu i tym samym na azjatycką politykę Rosji będą miały dalsze procesy rozwojowe ludności państwa. Dotychczasowa słabota Rosji w Azji i przyczyna przewagi jej zainteresowań w Europie wynikała ze skupienia wszystkich głównych ośrodków ludnościowych i gospodarczych na zachodnich „kresach” Rosji przy niezwykle rzadkim zaludnieniu Syberii i środkowej Azji.

Przyrównanie i rozwój ludności na tych obszarach zasadniczo zmienia sytuację. Według obliczeń biura Ligi Narodów — ludność Rosji w r. 1970 wynosić będzie około 251.000.000. Większa część przyrostu ludności przypadnie na wschodnie połacie państwa. Licząc się z tym planowania sowieckie oraz zarządzenia powołane w maju 1939 r. Urzędu Przesiedleńczego dla zaludnienia środkowej Azji i wschodu Rosji.

Rozbudowa sowieckiej Azji i Syberii wpływa już dzisiaj na zmianę kierunków rozwojowych państwa. Obok dotychczasowego — prawie wyłącznie r o w n o l e ż n i k o w e g o kierunku (wzdłuż kolei syberyjskiej) — powstaje nowy kierunek p o ł u d n i k o w y, wzdłuż pasma Uralu, rzek Obi i Jenisieju. Przedłużenia tych linii w kierunku południa, wskazując obszary i kraje, którymi w wybitnym stopniu interesuje się polityka sowiecka, uderzają równocześnie w najżywniejsze sfery interesów naftowych w Iranie i Iraku, przecinając równoleżnikowe szlaki komunikacyjne Imperium Brytyjskiego, sięgają do zatoki Perskiej, Indii, Chin północno-zachodnich itd. Azjatycki cel polityki sowieckiej połączony w jedną całość z ewolucją geografii gospodarczej Rosji, staje się najbardziej podstawowym kierunkiem jej ekspansji.

\*\*\*

Druga wojna światowa przyniosła rewolucyjne zmiany w sytuacji Związku Sowieckiego. Odsunęła stale głoszone przez Rosję niebezpieczeństwo ze strony państw europejskich, z drugiej zaś strony klęska Japonii otworzyła możliwości dla ekspansji sowieckiej na Dalekim Wschodzie.

W ten sposób Rosja, po raz pierwszy od klęski Napoleona, uzyskała możliwość prawie nieskrępowanego dysponowania tymi siłami, jakie poprzednio wiązane były przez mocarstwa europejskie oraz Japonię. Motywy obronne państwa sowieckiego straciły dotychczasowe znaczenie, natomiast otworzyły się przed Moskwą perspektywy ekspansji w skali nieznanej dotychczas w historii imperium rosyjskiego.

W jakim kierunku pójdzie ewentualna ofensywa rosyjska? Odpowiedź na to pytanie można znaleźć w podstawowej zasadzie sowieckiej polityki, zdążającej do zadania ciosu systemowi „imperialistyczno-kapitalistycznemu” w jego najżywniejszych powiązaniach. Struktura gospodarcza, a co za tym idzie, i siła państwa mocarstw światowych opiera się na koloniach, źródłach surowcowych, rynkach zbytu i kontroli szlaków komunikacyjnych. Wymienione elementy składowe skupiają się przeważnie w Azji i w Afryce. Należy więc przypuszczać, że według wszelkiego prawdopodobieństwa atak na kolonie azjatyckie, a w dalszej kolejności — afrykańskie, jest głównym i podstawowym celem sowieckiej polityki ofensywnej).

1) Kreml wybitnie docenia azjatycko-afrykańskie źródła potęgi mocarstw. W publikacjach sowieckich podkreśla się, że np. Wielka Brytania uzależniona jest w imporcie: ropy naftowej — w 100%, rudy żelaznej — w 42%, manganu — w 99%, miedzi — w 99%, cyny — 96%, bauxytu — w 100%, żelaza — w 87%, tutejszu — w 89% itp. („Strany Mira”, Kratki Sprawoznik, str. 130. Moskwa 1942).

Kreml zdaje sobie sprawę, że cios zadany mocarstwom kolonialnym w Azji rozwiązuje naraz dwa zagadnienia: oddaje bezbronną Azję w ręce Sowietów i sprowadza mocarstwa kolonialne do roli państw średniej wielkości.

Wybór azjatyckiego kierunku w obecnej chwili jest dla Rosji szczególnie korzystny. Tylko w Azji Sowiety mają szansę zwrocenia przeciwko zachodnim potęgom ostrza ich własnej broni ideowej, tj. zasad Karty Atlantycznej, broniącej wolności i niepodległości narodów. Na terenie natomiast Europy wszelkie hasła „wolności narodów” głoszone przez Sowiety spotykają się ze stanowczym sprzeciwem ruchów narodowych, które widzą w tych hasłach jedynie środek do skomunizowania, a w dalszym etapie — i zsowietyzowania ich krajów.

Ofensywa sowiecka w kierunku Azji napotyka jednak na poważną przeszkodę. Jakiegokolwiek jej wystąpienie na większą skalę wywołać może kontrofensywę mocarstw od strony Europy. Z tego rodzaju ewentualnością Sowiety muszą się poważnie liczyć, gdyż zatarg zbrojny z Zachodem zagraża wciąż jeszcze bardzo ważnym ośrodkom gospodarczym na południu i na zachodzie Rosji, jak Ukraina oraz okręgi: moskiewski i leningradzki. Na Ukrainę bowiem przypada 1/4 produkcji zbóż całego Związku, 2/3 produkcji cukru, około 3/5 — surowki i węgla, około 1/2 produkcji soli itp. Na moskiewski okręg gospodarczy — około 1/5 produkcji przemysłowej itd.

Polityka sowiecka w wyniku takiego układu sił znajduje się na rozdrożu: obawa kontrataku ze strony Europy powstrzymuje Sowietów od ofensywy na terenie Azji. Z drugiej strony przeciągnięcie struny w rozgrywkach i sprowokowanie wojny na zachodzie jest dla Sowietów zbyt ryzykowne, dopóki mocarstwa kolonialne, a przede wszystkim aglosaskie, nie zostaną odcięte od źródeł swej potęgi, czyli od kolonii i rynków zbytu Azji i Afryki. Sowiety jednak starają się rozwiązać ten problem przez budowanie szerokiej strefy „bezpieczeństwa” na zachodzie, która po pewnym czasie ułatwi Sowietom rozwinięcie ofensywy azjatyckiej.

Czerwony Kreml, przygotowując sobie w ten sposób odpowiednie warunki dla podjęcia w Azji ofensywy na wielką skalę, nie próżnuje w międzyczasie i wypróbuje swe siły w akcjach zabórczych i zajmowaniu punktów wypadowych i przyczółków na mniejszą skalę. Rozszerza swe wpływy w Północnych Chinach i na Dalekim Wschodzie, jawnie popiera oderwanie się perskiego Azerbejdżanu, grozi Turcji, w Europie zaś działa za pośrednictwem również z lekka unarodowionych partii komunistycznych, starając się jednak nie palić narazie mostów w stosunkach ze swymi demokratycznymi aliantami z czasów wojny z Niemcami.

Siłą rzeczy w sowieckich planach budowy szerokiego kordonu od Zachodu bardzo poważne miejsce zajmuje Polska. Wynika to z faktu, iż naród polski jest nie tylko największą zwartą grupą narodowościową na zachodnim pograniczu Rosji ale i obszarem, przez który przebiegają najważniejsze szlaki komunikacyjne między wschodem a zachodem Europy.

Polskę i Rosję łączy, czy raczej rozdziela, długa historia, do której sięga dziś propaganda sowiecka, wydobywając tendencje wygodne dla siebie momenty i przedstawiając Polskę jako państwo odwiecznie cyszące na całość Rosji. W bujnej wyobraźni rosyjskiej zbiegają się w Polsce i znajdują poparcie wszystkie antysowieckie tendencje ludów zachodniego pogranicza Rosji. W przekonaniu sowieckim Polska stanowi najtrudniejsze do opanowania ogniwo kordonu sowieckiego na Zachodzie. Od funkcjonowania zaś tego ogniwa zależy w dużym stopniu utrzymanie się Sowietów na międzyrze bałtycko-adriatyckim, od czego z kolei uzależniona jest swoboda ruchów Rosji Sowieckiej w Azji.

W powiązaniu w jedną całość sprawy sowieckich możliwości w Azji ze sprawą kordonu obronnego na zachodzie, leży m. inn. wytłumaczenie szczególnego zainteresowania Kremla Polską. Czerwona Moskwa za wszelką cenę zmierza do likwidacji „sprawy polskiej” i do odseparowania narodu polskiego pod każdym względem od kontaktów politycznych ze światem zewnętrznym. Czynnika to zresztą konsekwentnie w ciągu całego dwudziestolecia Polski Odrodzonej, dążąc do podważenia jej znaczenia i rzeczywistej roli w świecie przy pomocy skomplikowanego aparatu swych tajnych agentów i ich narzędzi, działających w najrozmaitszych dziedzinach życia politycznego, społecznego i kulturalnego Europy.

2) Jak dalece cała prawie Azja (dziś nie wyłączając nawet Japonii) jest bezbronna wobec ataku sowieckiego w wypadku wycofania się potęg europejskich — świadczą stany liczne sił zbrojnych głównych krajów Azji. Ołbrzymie Chiny bez pomocy Anglii i Ameryki oraz Sowietów od dawna stałyby się kolonią Japonii. Siły zbrojne całego świata arabskiego, liczące około 90 milionów ludności — nie przekraczają pół miliona żołnierza regularnego — około 500 samolotów i kilkudziesięciu czołgów. Siły zbrojne Persji są do pokonania przy pomocy kilku brygad kawalerii sowieckiej i paru eskadr samolotów. Jedynie Turcja zdolna jest stawić opór napadowi ze strony każdego nieprzyjaciela i walczyć w oparciu o niedostępne obszary Anatolii przez czas dłuższy.



ANDRZEJ POMIAN

# SZABLA I KSIĄŻKA

NIE zamierzam dawać szkicu syntetycznego o życiu kulturalnym Warszawy pod okupacją niemiecką. Moje obserwacje z tego zakresu są zbyt przypadkowe i niepełne, abym się mógł o to pokusić. Zresztą w tym wypadku nie potrafiłbym obejść się bez wymienienia nazwisk literatów, z którymi zetknąłem się podczas wojny, a którzy byli twórcami tajnego podziemnego nurtu kulturalnego. Sądzę, że byłoby to zbyt ryzykowne. Nie wolno przecież zapominać, że Warszawa nie jest jeszcze naprawdę wolna. Lepiej więc nie kwapić się z nazwiskami ludzi, których udział w pracy podziemnej mógłby być poczytany obecnie w Polsce za przestępstwo.

Nie napiszę więc o życiu kulturalnym Warszawy. Wydaje mi się wszakże, że obraz stolicy przedpowojennej byłby bardzo jednostronny, gdyby nie uwzględniło się w nim jednego bardzo charakterystycznego szczegółu: książki polskiej. Jej to właśnie chcę poświęcić parę wspomnień osobistych.

Zdajemy sobie wszyscy sprawę z ogromu strat, które wskutek obecnej wojny poniósł naród polski. Często zapominamy jednak o katastrofie książki polskiej, spowodowanej zniszczeniem Warszawy. Już przed wojną stolica przodowała w wytwarzaniu i gromadzeniu książek. Tutaj właśnie mieściły się wielkie firmy wydawnicze: Gebethner i Wolff, „Biblioteka Polska”, M. Arct, Trzaska, Evert i Michałski, „Rój”, J. Mortkowicz, J. Przeworski, dalej filia poznańskiej Księgarni św. Wojciecha, składy Ossolineum, Książnicy-Atlasu, tutaj wreszcie Boy-Zeleński wydawał swoją Bibliotekę Arcydzieł Literatury Francuskiej. W Warszawie znajdowały się również największe zbiory publiczne w Polsce: Biblioteka Narodowa, Uniwersytecka i Miejska, a ze zbiorów prywatnych — jedna w swoim rodzaju biblioteka Michalskiego, licząca ponad 50.000 tomów.

Podczas wojny znaczenie Warszawy pod tym względem wzrosło niepomniernie. Książka polska zniknęła niemal z ziem zachodnich. To co ocalało — więc przede wszystkim wydawnictwa R. Wegnera z Poznania (Biblioteka Laureatów Nobla, Biblioteka Autorów Polskich, seria „Cuda Polski”) — znalazło się niebawem w Warszawie. Po wybuchu wojny niemiecko-sowieckiej do Warszawy przywieziono lwią część resztek książek polskich, które ocalały we Lwowie po niszczycielskim okresie pierwszej okupacji rosyjskiej, kiedy to wiele cennych wydawnictw poszło po prostu na papier. Wśród przywiezionych znalazły się także rzeczy nie wypuszczone dotychczas na rynek księgarski.

Tak np. ze składów Ossolineum wydobyto kilkadziesiąt egzemplarzy drukowanej w roku 1938, lecz niezbroszowanej jeszcze całości „Ziemi obiecanej” Reymonta, którego pełne nowe i poprawne (nareszcie) wydanie pism miało się ukazać staraniem samego Bernackiego. Sądząc po „Ziemie obiecanej”, zapatrzonej w najważniejsze odmiany tekstu, byłoby to wydanie nie krytyczne wprawdzie, ale bardzo staranne, a więc w naszym piśmiennictwie, tak ubogim w dobre edycje, stanowiące jeden z chlubnych wyjątków.

Do Warszawy, która była największym rynkiem księgarskim, napłynęło ponadto z prowincji moc książek, wygrzebanych na strychach, poddaszach, lub wydobytych z zapomnienia naszych dworów. W ten sposób w obiegu księgarskim ukazały się książki od dawna wyczerpane lub „białe kruki”. Z jakimż wzruszeniem kupilem doświadczone za grosze Rolicza-Liedera „Wierszy tom V”, odbity w Paryżu na początku XX w. w 20 niesprzedanych egzemplarzach, od lat całych daremnie poszukiwanych przez Napierskiego do przygotowywanego przezeń do druku „Wyboru poezji” tego poety. Ileż refleksji potrafiły nasunąć takie np. książki, jak weneckie wydanie Horacego sprzed wyprawy wiedeńskiej albo pierwsze edycje Kochanowskiego, czy też Krasickiego, Karpińskiego, Szymanowskiego, Naruszewicza, Malczewskiego, Mickiewicza, Siemowickiego, Krasińskiego i Norwida, nie mówiąc już o rzeczach późniejszych, łatwiej dostępnych, lecz tak rzadkich, jak np. pierwsze wydanie „Ogniem i mieczem”, różniące się od następnych zakończeniem.

Źródłem wielu niespodzianek dla bibliofilów były wystawione na sprzedaż księgozbiory polskich literatów, lub też książki ze starych zapomnianych zupełnie składów, które „odkrył” dopiero jakiś zabłąkany granat artyleryjski. Tą drogą na witrach księgarskich znalazły się np. nierozcięte egzemplarze „Elegii” Kochanowskiego w przekładzie Brodzińskiego, wydanych w r. 1830, oraz o kilka lat wcześniejszego poematu „Rzeki polskie” Jaxy-Marcinkowskiego, jednego z owych „literatów i grafomanów”, o których Bystroń napisał książkę. Bóg raczy wiedzieć, jak zdołały się one uchować ponad sto lat w stanie idealnie dziewiczym!

Księgozbiory prywatne literatów, to temat do osobnego studium, którego zapewne nie napiszę. Były one małe i wielkie, staranne i przypadkowe, ale najczęściej ubogie i skłonne były jak. Obok np. wspaniałej biblioteki Lorentowicza, czy znacznie mniejszej ale wyborowej Napierskiego, widziało się marne księgozbiory jednego z najwybitniejszych pisarzy, składający się przeważnie z nowości księgarskich, nadsyłanych do recenzji. Właściciel albo nie czytał ich wcale (np. nie rozciął egzemplarza „Szkicownika poetyckiego” Ja-

snorzewskiej, mimo bardzo pięknej dedykacji), albo przeglądał na poczekaniu, jak o tym świadczyły poszarpane od rozcięcia dionia brzegi stron. Jako nieprzytomny bibliofil wrzałem oburzeniem. W kilku wypadkach zdołałem stwierdzić, że recenzje opierały się na tych kilku na prędce przeczytanych kartkach!

Widywałem autora nieraz na ulicy — małego, zbiedzzonego, nędznie ubranego. Szedł zwykle w głębokim zamyśleniu, które budziło szacunek, pomieszany ze współczuciem. Dziś te chwile przygodnych spotkań wspominam ze wzruszeniem i zapominam o jego przewinach wobec książki. Nie był bibliofilem, a był zbyt zapracowany, aby mieć czas na staranną lekturę.

W bibliotece Napierskiego znalazłem osobliwość, a mianowicie trzecie i ostatnie za życia autora wydanie „Psalmodii przyszłości” Spirydona Prawdzickiego, tj. Krasińskiego (Paryż 1851), wzmiankowane przez Estreichera ze znakiem zapytania, nie znane ani jemu, ani, co dziwniejsza, żadnemu z wydawców krytycznych (Pini, Czubek, Kridl). Jeśli ktoś z wydań Krasińskiego mógł ująć uwagi, to coż mówić o innych autorach. Każdy, kto się zetknął z rozległą dziedziną wydań poprawnych i krytycznych przyzna mi chyba rację, że pod tym względem mamy olbrzymie zaniedbania. Dotyczą one najwybitniejszych nawet pisarzy polskich. Tak np. w 40-tomowym, przygotowanym przez Chrzanowskiego, rzekomo pełnym wydaniu „Pism” Sienkiewicza brak noweli „Promyk” z tomu „Dwie łaki”. W zbiorowym wydaniu Żeromskiego z r. 1928 opuszczono nowelę „Do swego Boga” i „Poganiń”, obie z pierwszych wydań zbioru „Rozdziobią nas kruki, wrony...”. Nowel tych nie przedrukował także Borowy w tomie uzupełniającym pt. „Elegie”, a więc, praktycznie rzecz biorąc, były one niedostępne dla współczesnego czytelnika polskiego. O poprawności tekstu nie warto w ogóle mówić. Nikt nie dbał o to nawet w zbytkowych ilustrowanych wydaniach, których staranna, a nieraz wytworna szata zewnętrzna kontrastowała z niechlujstwem tekstu. Np. pięknie opracowane graficznie przez Kamińskiego wydanie „Powieści o Walgierzu Udałym” Żeromskiego, pisanej prozą poetycką, zawiera szereg dziwnych zniekształceń, obfitujących w karygodne przedstawienia wyrazów.

Jeśli już mowa o Żeromskim — warto wspomnieć o kilku osobliwościach, które wyszły na jaw zdaje się dopiero podczas wojny. Ze zdumieniem więc np. oglądałem wydanie monachijskie „Popiołów” nakładem Marchlewskiego, późniejszego niedosłego kandydata na członka sowieckiego „rządu” polskiego w r. 1920. Było to wydanie okładkowe: do normalnego tekstu gebethnerowskiego z r. 1904 Marchlewski dołączył tylko kartę tytułową z datą 1903! Z innych ciekawszych edycji Żeromskiego notuję: dwa wydania „Rozdziobią nas kruki, wrony...”, oznaczone przez autora jako trzecie; jedno in quarto na papierze kredowym z ilustracjami Janowskiego, odbite w r. 1905, drugie w formacie normalnej ósemki, wydrukowane w roku 1913 w Krakowie nakładem S.A. Krzyżanowskiego. Ciekawe są też dwa wydania „Ech leśnych” z r. 1905, w opracowaniu graficznym Jana Bukowskiego z ilustracją Jacka Malczewskiego. Różnią się one nie wyglądem zewnętrznym, lecz nazwą drukarni: jedno wyszło z oficyny Anczyca, drugie z Drukarni Narodowej. Które z nich było pierwsze, ustali przyszły badacz. Już to

Żeromski nie ułatwiał zadania przyszłemu „krytycznemu” wydawcy swych dzieł, a wszystkim tzw. poprawione wydania jego dzieł odznaczają się fatalną korektą.

Przeciwieństwem Żeromskiego pod tym względem był Berent. Staranny aż do pedanterii, poprawiał swe książki do każdego wydania (nie poczynał zmian w jednym tylko „Fachowcu”), zaznaczał ich kolejność, a nawet dodawał noty bibliograficzne. Ale i z nim będzie kłopot. Sporo rzeczy drukował tylko w czasopiśmie (wiersze, essaye, nowelę „Nauczyciel” pod pseudonimem Rawicza i in.).

Podczas wojny przeczytałem powtórnie jego „opowieści biograficzne”: „Nurt”, mowę o Godebskim, „Diogenesa w kontuszu” i „Zmierzch wodzów”. Wydały mi się najgłębszymi bodaj książkami dwudziestolecia niepodległości. Godny uwagi jest zwłaszcza rewizjonistyczny stosunek do epoki naszego oświecenia. Kto wie, czy oświecenie i następujący po nim pseudo-klasycyzm, tak zwykle pogardliwie zbywany, nie były pod niektórymi względami ciekawsze od romantyzmu. Pseudoklasyści dbali o rzemiosło literackie, tak ważne dla pisarzy średniej miary. Romantycy natomiast, poza najwybitniejszymi i wykształconymi na dobrych wzorach klasycznych, nie mieli o nim zazwyczaj pojęcia. I kto wie, — uważa ta nawinęła mi się dopiero teraz, — czy nasz romantyzm, wraz ze swym hasłem „mierz siły na zamiary, nie zamiar według sił”, nie stał się zrozumiały dopiero na tle ówczesnej naszej sytuacji politycznej, wobec której racjonalizm myślenia pseudoklasyków był bezsilny. Literatom często się zdaje, że dziełami swymi kształtują rzeczywistość polityczną; w rzeczywistości bywa odwrotnie.

Jedną z moich pasji było zbieranie rzadkich czasopism i wydawnictw pamiątkowych. W krakowskich „Maskach” z r. 1918 znalazłem kilka świetnych poematów zapomnianego nieustannie poety Eminowicza oraz cykl karykatur Sichulskiego z ubiegłej wojny, wydany następnie osobno. Wrażała mi się w pamięć zwłaszcza jedna. Na przedzie łodzi stoi Sikorski. Łódź steruje... prof. Kot. W innym wydawnictwie odnalazłem doskonale tłumaczenie pierwszej księgi „Iliady” pióra... Balzera, oraz jego komedie konkursową, zdaje się pod tytułem „Kłopoty ciotki Eudoksji”.

Spółród kilkudziesięciu przynajmniej tysięcy książek, które podczas wojny przewinęły się przez moje ręce, wymieniałem zaledwie kilkanaście. Ileż z nich, rzadkich i cennych, czasami zupełnie nieznanymi naszym historykom literatury, jak np. wiele druków z w. XVII, znajdowało się w licznych w Warszawie bibliotekach prywatnych. Wszystko to prawdopodobnie przepadło.

Wierzę, że stolicę naszą odbudujemy piękniejszą nawet, niż była przedtem, wiem jednak zarazem, że nie już nam nie zwróci tych skarbow kultur, które były w niej nagromadzone, a które wraz z jej dotychczasowym kształtem przestały istnieć. Wiele książek da się naturalnie odszukać gdzie indziej. Część z nich zapewne kiedyś się przedrukuje. Ile z nich jednak przepadło już na zawsze? Ile w tym było bezcennych okazów naszej sztuki drukarskiej, ile pięknych druków Hellerów, Szaftenbergów, Piotrowszczyków, Glücksbergów, Anczyków, Łazarskich i tylu, tylu innych?

Wojna była okresem odrodzenia czytelnictwa. Złożyły się na to wielokierne przyczyny. Jedną z nich był brak jakiegokolwiek innych rozrywek kulturalnych. Inną — ta-

ność książki. Przed wojną ci, którzy mogli sobie pozwolić na kupowanie książek, zwykle mało się tym interesowali, dla tych zaś, co odczuwali gód książki, była ona za droga. Wojna zmieniła ten stan rzeczy. Mniej więcej do r. 1941 ceny książek nie uległy zmianie, a nieraz zmalały (np. na całą niemal Bibliotekę Boya), mimo olbrzymiego wzrostu cen na inne artykuły. Od r. 1941 poczęły one stopniowo zwyżkować, nigdy jednak nie nadszły za wzrostem innych cen. Jeszcze na początku 1944 r., gdy na skromne utrzymanie trzyosobowej rodziny trzeba było wydawać miesięcznie około 3.500 zł. — za 25 zł. a więc za 0,7% tej sumy można było nabyć tom dobrej książki. Przed wojną przy założeniu: 300 zł. na miesięczne utrzymanie i 9 zł. jako przeciętnej ceny tomu — cena ta stanowiła 2,7% kosztów utrzymania, czyli we wzajemnym stosunku procentowym czterokrotnie więcej. Nic dziwnego, że książki podczas wojny były po prostu rozchwytywane i że wielkie firmy księgarskie, nie chcąc wyczerpać swego całego zapasu, zmuszone były nie tylko podnieść ceny, ale nadto ograniczyć do liczby kilkunastu na miesiąc ilość egzemplarzy, przeznaczonych na sprzedaż.

Podczas wojny można było zaobserwować, że zamiłowanie do książek jest jedną z silniejszych namiętności. Mało było rzeczy, które zdołały bibliofilów odstraszyć od codziennej pogoni za książką. W dniach największych obaw, kiedy wyjście na ulicę równało się narażeniu na śmierć, obóz koncentracyjny, a przynajmniej wywiezienie do Rzeszy na roboty, kręcili się po księgarniach i antykwariatach pożerani wewnętrzną koniecznością przyniesienia do domu nawet tego dnia nowej książki. W czasach, w których chwiała się cała nasza wiara w postępek, w czasach trwogi o kulturę — potrafili z wypiekami na twarzy dyskutować o drobnych różnicach jakichś dwóch wydań. Kto sam nie kocha książek, nie potrafi tego rozumieć. Trudno zresztą w tym wszystkim oddzielić nałogu od szukania chwili wytchnienia przez ucieczkę od rzeczywistości.

Ja sam zawdzięczam książce niejedną taką chwilę. Czar książki był dla mnie czasem większy nawet od uroku przyrody. Nie stać mnie było przeważnie na dłuższe spacerowanie. Nie mogłem się zdobyć na spokojną kontemplację nieba, wody, drzew, ziemi. Żyłem niemal poza porami roku. Oderwałem się od wszystkich normalnych stosunków towarzyskich. Nie rozstałem się jedynie z książką.

Pamiętam, że gdy o godzinie policyjnej po całodziennym orce konspiracyjnej zjawiałem się w domu — pierwsze swe kroki kierowałem do biblioteki. Skromny posiłek odrywał mnie od niej na krótką chwilę, po czym znów skwapliwie wracałem. Wyciągałem z półek po kilkanaście książek na chybli trafił, aż póki któraś nie zwróciła mojej uwagi. Otóż wierałem ją, niekoniecznie na początku, i poczyniałem czytać. Powoli zapomniałem o wszystkim... Ileż np. przyjemności dostarczała mi lektura czarującej książki — „Fraszek” Kochanowskiego, tego najbardziej może europejskiego naszego poety, człowieka prawdziwie wolnego, niemal nowoczesnego. Oczywiście po kilku kwadransach trzeba było wracać do rzeczywistości i zasiać do dalszej pracy. Brałem się do niej niemal oświeżony.

Konspiracja stworzyła wreszcie jeszcze jedno zgoła niecodzienne użycie książki. Po między jej kartkami — zwłaszcza nierozciągniętymi — można było ukryć sporo bibuły. Książki używaliśmy więc nieraz jako doskonałych przenośnych skrytek. Przypomina mi to jedną z przygód dość zabawnych, która jednak mogła się skończyć tragicznie.

W nowiutkim, nierozciągniętym jeszcze tomie „Geografii gospodarczej Polski” Srokowskiego, kolega mój Ł. niósł nieco tajnej korespondencji. W pewnym momencie, chcąc uniknąć spotkania z idącym naprzeciw patrolom niemieckim, skrzył w boczną ulicę. Nie uszedł jeszcze dwudziestu kroków, gdy się poślizgnął: książka z hałasem upadła na chodnik, a pomiędzy jej kart wypadła cała bibuła. Kolega Ł. szybko się schylił, wyciągnął rękę i... zmartwiał. Wraz z nim bowiem — zauważył to dopiero teraz — schylił się ktoś w niemieckim zielonym mundurze i wcześniej o ułamek sekundy sięgnął po bibułę. Stało się! Kolega Ł. opanował się i wyprostował. Tę krótką chwilę od zgiecia do wyprostowania pamiętał potem bardzo długo. Był przekonany, że wpadł w ręce patrolu. Myśl jego pracowała gorąco nad znalezieniem środków ratunku. Wreszcie spojrzął na swego nieproszonego towarzysza. Jakież było jego zdziwienie, gdy zamiast spodziewanego gestapowca, ujrzał młodego żołnierza niemieckiego, uśmiechającego się uprzejmie i wręczającego mu „bibułę”, której charakteru się nie domyślał. Uprzejmość wśród narodu „panów” należała do tak niestychanych rzadkości, że kolega mój, jak sam później opowiadał, doznał przez chwilę wrażenia czegoś nierzeczywistego. Choć o tym już nie mówił, przypuszczam jednak, że sam oddał się szybko i niegrzecznie.

Sygnetem wydawniczym prasy wojskowej był rysunek otwartej książki z podobizną orła na jednej, a nagiej szabli na drugiej stronie. Szabla i książka. Dziś, gdy o tym myślę, nie umiem się oprzeć wymowie tego zestawienia. Sądzę, że nie można było znaleźć piękniejszego symbolu dla całego wysiłku Armii Krajowej.

## O RELIGIE KULTURY

(Dokończenie ze strony 1-szej.)

racja polityczna” jest polityczną niewolą, lub co najmniej stosunkiem wasalnym, którego stare wzory tak świetnie odnowił Adolf Hitler — karykatura najciemniejszej średniowieczny, powrotny koszmar z samego spodu sennej podświadomości europejskiej.

Taki układ sytuacyjny pociąga za sobą potworny skutek moralny: wyłączenie z uczestnictwa, odepchnięcie większości narodów od współodpowiedzialności za bieg zbiorowego życia na naszej planecie, za tok istnienia w ramach jednej nadrzędnej kultury historycznej.

Trudno nie dojrzeć jeszcze jednego ujemnego efektu, choć w tej chwili nie jest on jeszcze w pełni doceniony: Niemcy, pierwszy główny winowajca, straszliwy zbrodniarz, podpalacz, Kain naszej cywilizacji — nie mają pożywającego przed sąd. Przestała istnieć instancja moralna, przeciwko której zgrzeszyły, która mogłaby zebrać w jedną kruzę krew i żyć przez nich wytoczone, która by miała prawo zważyć ich zbrodnie, obliczyć łupieżstwa, miałyby siłę wymierzyć im karę. To jest to niepojętych zjawisk, procesów dokonujących się na ziemi Rzeszy, rzekomo pobitej, w rzeczywistości świecącej herostratesowe zwycięstwo.

Tak, ponad wszelką wątpliwość ten pokój nie jest „une paix de civilisation”. Tak, wyraźnie, ten pokój jest pokojem przeciwnym kulturze, jest pokojem na wskroś i do dna niemoralnym. Bo kultura w najgłębszej istocie swojej nie jest niczym innym, tylko realizacją określonego systemu wartości, przed-

stawia nieskończone, ułonne, bohaterskie wcielanie ideału w życie. Chciałoby się powiedzieć: jest widmem kolorowym słonecznego promienia.

Zgodnie z założeniem, że uwagi nie powinny wychodzić poza czyste rozeznanie i osądzenie rzeczy z pewnego punktu widzenia. Ale wnioski stąd wynikające narzucają się z nieodpartą koniecznością.

Kultura europejska zawiniła przeciw sobie. Zgrzeszyła niewiarą w siebie, targnęła się samobójczo na swoje podstawy. Następstwa tego są nieuniknione, stają się coraz bardziej widoczne, będą coraz ostrzejsze.

Bierne oczekiwanie kary byłoby jednak wyzwaniem zagłady. Świat kultury europejskiej musi wrócić do pełnej samowiedzy swoich założeń, swoich punktów wyjścia. Musi przedsięwziąć mobilizację wszystkich swoich sił. Potrzebny nam jest nie „blok zachodni”, a napewno nie tylko on, ale blok chrześcijański, wielka wspólnota zachodnia, wspięta przesłami ponad granice i interesy, ponad zadawione partykularyzmy i urojone podziały. Potrzebny jest duch apostołski. Potrzebne — heroiczne wyznawstwo religii kultury.

Trzydzieści lat temu, Léon Bloy nieopatrnie napisał: „J'attends les Cosaques et le Saint Esprit” („Au seuil de l'Apocalypse”, 1916). — Eh bien, cher, bon Bloy, les Cosaques, ils sont là. Il nous n'en reste que le Saint Esprit.

Zostało nam jeszcze wszystko i wolny wybór: uratować wszystko, albo stracić wszystko.

Tymon Terlecki







# WOCZACH ZACHODU

## Korespondenci zagraniczni o sytuacji w Polsce

Określenie stwierdzające, że Polska wraz z innymi krajami Europy wschodniej znajduje się za „żelazną kurtyną” nie jest już dziś w pełni aktualne. „Żelazna kurtyna” istniała do chwili kiedy — za drogą cenę uznania przez mocarstwa zachodnie tzw. „tymczasowego rządu jednolitej narodowej” — Rosja zmuszona była pod presją tych mocarstw uchylić owej szczelnej zasłony i — aczkolwiek niechętnie — dopuścić przedstawicieli prasy zagranicznej, pewnych organizacji humanitarnych i kulturalnych, misje przemysłowe i handlowe oraz wycieczki parlamentarzystów amerykańskich i brytyjskich.

Relacje tych osób, które zdołały pokonać „ghymkanę” formalności i utrudnień — pomyślnych niewątpliwie jako czynnik mający zniechęcić mniej wytrwałych czy mniej ciekawych — są już dziś dość liczne. Jeśli chodzi o liczbę ich napływ, informacje są. Zagadnieniem pozostaje jednak ich obiektywizm i wiarygodność.

Trudno bowiem sądzić, aby Rosja naprawdę zrezygnowała z „intymności” swojej sfery działania w krajach Europy wschodniej i zdecydowała się ukazać oczom Zachodu pełną i całkowitą prawdę o ich położeniu. „Żelazna kurtyna” zastąpiła po prostu innym rekwizytem scenicznym, jakim jest odpowiedni dobór światła. W oczach obserwatorów obcych, nie nawykłych do kolorystycznych efektów, prawda ta mieni się różnymi barwami, rysowana w konturach świadomie zartach, w wymiarach sztucznie zmienianych. Zresztą zbyt realistyczne i zbyt dokładne pisanie o tym, co się dzieje w „zwycięskiej” — „sojuszniczej” Polsce, nie było także szczególnie pożądane ani wygodne dla polityków zachodnich. Ustąpiwszy najprzód w Jalcie, a potem w Poczdamie z uprzednio zajętej pozycji na rzecz zamiarów i koncepcji rosyjskich, odegrawszy wątpliwą rolę opiekunów wobec Polski i obdarzwszy ją utworzonym w Moskwie pod rosyjskim naciskiem tzw. „jedności narodowej”, kierownicy polityki anglosaskiej pragnęli choć na pewien czas wzmocnić sobie i innym, iż rola przez nich odegrana była zbawienia i że Polska otrzymała wystarczające warunki dla odbudowy swego życia państwowego i gospodarczego. Na interelacje jednego z posłów w Izbie Gmin z początkiem tej zimy, min. Bevin odpowiedział, iż nowa polska demokracja jest wątłą rośliną, którą należy pozostawić w spokoju, dając jej czas do rozwoju, a nie szkodzić jej ustawicznym kontrolowaniem i zaglądaniem czy rośnie.

Następnie, gdy pierwsze relacje z Polski zaniepokoiły opinię publiczną Zachodu i obudziły jej czujność, próbowano wysuwać argument, iż robenie hałasu dokola pewnych „niedociągnięć” demokracji, jaką Moskwa narzuca Polsce, może tylko Polsce zaszkodzić, powodując wzmocnienie nacisku, a nawet gwałtowną interwencję ze strony Rosji. Jeszcze dziś — kiedy sztywność prawdy gęsto już podziurawiało krząkający wórek i kiedy Zachód ma coraz mniej złudzeń co do losu Polski — poważny tygodnik „Economist” oburza się na min. Bevin, iż otwarcie przed parlamentem stwierdził istnienie terroru politycznego i wypadki mordów politycznych w Polsce, a powiedział jego „pragnę końca tych państw politycznych” — określa jako wysoce nietaktyczne i szkodliwe. Tak więc, w świecie skłóconym i zdeorientowanym, przeciążonym konfliktami i różnorodnymi problemami, — w świecie lakunującym pokój, a niedołężnym do jego realnej i zdrowej koncepcji — w atmosferze przemilczenia i zakłamania, cynicznego frazesu i pustego sloganu — prawda o Polsce dzisiejszej nie łatwo toruje sobie drogę. A jednak, mimo wszystkich przeszkód, przesłania ona niestannie i dziś już, dla ludzi Zachodu myślących odważnie i uczciwie — tragiczna krzywda Polski staje się coraz bardziej oczywista i jaskrawa.

\*

Przybywający do Polski cudzoziemcy, a w szczególności dziennikarze — których najbardziej obawiają się wszelkie systemy policyjne — nie łatwie mają zadanie, jeśli chodzi o poznanie istotnej prawdy o tym kraju. Pozbycie się zbyt troskliwej opieki czynników oficjalnych, dotarcie do źródeł informacji i do miejscowego społeczeństwa, umiejętność rozróżnienia co jest propagandą, a co obiektywną informacją — oto główne trudności na drodze do zdobycia autentycznych wiadomości. Pozostaje jeszcze niemierna trudna kwestia wysłania tych obiektywnych informacji w świat.

Kiedy pierwsi korespondenci amerykańscy i brytyjscy jesienią ub. roku przybyli do Warszawy, władze miejscowe nie mogły pogodzić się z faktem, że nie tylko starali się oni wszystko zobaczyć, ale w dodatku pozwalali sobie pisać o tym, co zobaczyli, najzupełniej nie po myśli warszawskich „czynników rządowych” i ich mocodawców na Kremlu. Pomiedzy władzami a zagranicznymi dziennikarzami rozpoczęła się istna wojna. Kiedy korespondent „Associated Press”, Larry Allen, wysłał do Ameryki depeszę o braku bezpieczeństwa w Warszawie i conocnych strzelaninach, władze miejscowe interweniowały w ambasadzie Stanów Zjednoczonych. Odpowiedziano im, iż korespondenci są od tego, aby pisać prawdę i że ambasada nie widzi najmniejszego powodu, aby im w tym przeszkadzać. Kiedy owe argumenty nie pomogły, paru urzędników miejscowych zaproszono na wieczerę do siedziby ambasady i z balkonu przekonano ich, iż rzeczywście dokładnie słysząc stamtąd strzały i wołania o pomoc — o czym właśnie pisał Larry Allen.

W ślad za korespondentami pism i agencji brytyjskich i amerykańskich przybywać zaczęli do Polski ekipy dziennikarzy szwedzkich, francuskich, belgijskich itp. Przysłać trzeba, iż większość z nich starała się informować opinię swych krajów w sposób rzetelny i obiektywny. Uderzało to zwłaszcza w sprawozdaniach dziennikarzy francuskich, którzy odbyli podróż po Polsce na zaproszenie „rządu warszawskiego”. Relacje ich — które z początkiem grudnia zapelniały szpalty dzienników francuskich — były uderzająco zgodne w zasadniczych kwestiach, bez względu na kierunki polityczne, jakie te pisma reprezentują.

Jaki obraz Polski dzisiejszej wyłania się z tych rozlicznych i różnorodnych, rozmaicie zabarwionych informacji o Polsce?

Jeśli chodzi o postawę społeczeństwa polskiego w stosunku do położenia kraju — wszystkie niemal relacje podkreślają z podziwem niezmąconą energię i biologiczną żywotność Polaków, którzy — po pierwszym okresie oszołomienia i de-

presji spowodowanej nieoczekiwaną formą pod jaką objawiło im się „oswobodzenie” i zwycięstwo Narodów Zjednoczonych — przystąpili do pokonywania trudności, które stwarza nie tylko bezprzykładne zniszczenie kraju wojną, ale przede wszystkim „opieka wybacwców” i narzucona przez nich sytuacja wewnętrzno-polityczna. Dalecy od rezygnacji, Polacy skupiają się w wysiłku, odbudowują swój kraj i — wbrew naciskom i przymusowi — usiłują pozostać sobą.

Wielu obserwatorów podkreśla również fakt, iż Polska — tak okrutnie dziś zawiedziona i opuszczona przez Zachód — pozostaje mu nadal wierna, lgnąc do niego nie tylko instynktowną nadzieją, ale i świadomą wolą utrzymania z nim tradycyjnych i kulturalnych związków. Pisma angielskie są w Polsce rozchwytywane, a zapotrzebowanie na książki i podręczniki angielskie jest ogromne. Korespondent „Manchester Guardian” opowiada, że gdy pasażerowie autobusu, w którym odbywał on długą i uciążliwą podróż z Gdańska do Warszawy, rozpoznali w nim Anglika, zaczęli natychmiast śpiewać „Tipperary” i „God save the King”. Jeżeli mimo wszystkich gorzkich rozczarowań trwa w Polsce nadal wiara w Wielką Brytanię i Amerykę, to jest to jednym więcej dowodem, jak istotne i nierozdzielne węzły łączą Polskę — spychaną dziś na Wschód — z postawą życiową, obyczajem i światopoglądem zachodnio-demokratycznym.

\*

Kiedy w Moskwie tworzono tzw. „rząd jednolitej narodowej”, prasa krajów zachodnich bezkrytycznie stwierdzała, że jest to rząd koalicyjny, oparty na współpracy czterech głównych polskich stronnictw politycznych, z udziałem „nawet” Polaków londyńskich. Wygodne to złudzenie ustąpiło już dawno w opinii Zachodu miejsca zrozumieniu owej politycznej maskarady, jakiej dopuścił się komitet, a potem „rząd” lubelski w stosunku do przedwojennych polskich stronnictw, używając ich nazw dla grupowania pod nimi komunistów różnych odcieni. Prasa brytyjska i amerykańska otwarcie już stwierdza, że partią rządzącą dziś w Polsce jest w cztery oblicza zaopatrzony bożek PPR-u i że udział w tym rządzie Polskiego Stronnictwa Ludowego z Mikołajczykiem na czele jest wprawdzie jeszcze tolerowany, ale od początku iluzoryczny.

Prawda o istotnej sytuacji politycznej w Polsce i o znikomym stopniu, w jakim kraj ten korzysta z wewnętrznej autonomii, objawiała się odwiedzającym Polskę cudzoziemcom często w postaci drobnych, czysto zewnętrznych oznak. A więc jeden z korespondentów amerykańskich stwierdzał w swej depeszy ze zdziwieniem, że gdy się chce połączyć telefonicznie z którymś z biur rządowych, musi mówić po rosyjsku. Inny dziwił się, jak wielu „polskich oficerów” armii ziemskiej nie zna nawet języka polskiego, — inny jeszcze spostrzegał, iż Polacy, z którymi się pragnął zetknąć, wyraźnie obawiali się zdradzenia z faktem, iż kontaktują się z cudzoziemcami. Interesujące były obserwacje korespondenta komunistycznego dziennika szwedzkiego „Ny Dag”, który bawił w Warszawie, w chwili kiedy odbywał się tam kongres PPR-u. W relacji swej notuje, iż podczas trwania Kongresu nie można było się zobaczyć z żadnym prawie wyższym urzędnikiem w Warszawie, a biura rządowe świeciły pustkami, — przyznając w ten sposób mimowolnie, w jak nieproporcjonalnym do swej liczebności stopniu komunisti opanowali w Polsce wszystkie czołowe stanowiska.

Od kilku tygodni w prasie zachodniej coraz więcej się pisze o zbliżających się wyborach. Korespondent paryjskiego dziennika „L'Aube” J. Dannenmuller, zapytując w swym artykule, czy będą to wybory „austriackie czy jugosłowiańskie?”, a prasa brytyjska — komentując wymowne „ostrzeżenia” i pogroźki pp. Bieruta i Osóbki, wygłaszane wielokrotnie pod adresem PSL — zaczyna wyrażać powątpiewanie czy blok rządowy dopuści do tego, aby Polskie Stronnictwo Ludowe, czy Partia Pracy, poszły do wyborów z odrębną listą. Ponieważ wszyscy obserwatorzy zgodnie

stwierdzają, iż w prawdziwie swobodnym głosowaniu, komunisti nie mogliby liczyć na więcej jak 8 do 10 procent głosów, a cały blok rządowy najwyżej na 20 procent, prasa anglosaska wyraża wątpliwość, czy nowi władcy dzisiejszej Polski zechcą ustąpić przed wolą większości i wypuścić z rąk zagarniętą hegemonię w aparacie rządowym.

\*

Ale poza wyborami, poza życiem politycznym i partyjnym — nad Polską ciążyłby problemy nie mniej ważne, których rozwiązania domaga się każdy dzień codzienny. Są to problemy wyżywienia, opału, lecnictwa, transportu, kwestia cen i plac — zagadnienie utrzymania się po prostu przy życiu.

Stwierdzając jednogłośnie bezprzykładne zniszczenie kraju zarówno działaniami wojennymi i eksploatacją okupantów niemieckich, jak i rabunkiem stosowanym przez „oswobodzicieli” — korespondenci i obserwatorzy zagraniczni konstatują, że w tej, tak szumnie jako „demokratyczna” reklamowanej, Polsce, brak podstawowej równości jej obywateli. Niskie na ogół, ale w dość znacznej skali wahające się place uzupełniane są skomplikowanym aparatem deputatów, dodatków w naturze i bezpłatnych stołów przy miejscach pracy. W praktyce powoduje to, iż za tę samą pracę i przy tych samych kwalifikacjach można jednego pracownika dosłownie zagłodzić, a drugiego hojnie premiować, zależnie od stopnia jego politycznej „prawomyślności”. Podobne pojęcie o demokratycznej równości przyswieca rozdziałowi pomocy płynącej z zagranicy.

Obserwatorzy zagraniczni stwierdzają, iż żywności w Polsce właściwie nie brak, co nie przeszkadza ludziom głodować, o ile — dla zapewnienia sobie kila cukru czy słoniny — nie zaprzedał się posłusznemu reżimowi. Szwedzkie źródła podają, iż uderza to na przykład w portach polskich — Gdyni i Gdańsku, gdzie obok żebrzących nędzarzy i wygłodzonych dzieci, widuje się ludzi uczujących w drogich restauracjach i szafujących niezwykle hojnie pieniędzmi. Podobne spostrzeżenia notują korespondenci w Warszawie. „Swoi ludzie” mają więcej niż mogą spożyć, natomiast szary obywatel — a co dopiero mówić o krnąbrnych — walczyć musi dosłownie o każdy kęs chleba.

Rząd robi wiele hałasu koło odbudowy kraju i jego gospodarczego odrodzenia. Ale w rezultacie trzymanie obywateli w nędzy i zależności jest mu na ręce. Prasa zagraniczna cytując szereg wypadków, w których czynnicy oficjalne warszawskie nie tylko nie dawały dowodów troski o dobrobyt swych obywateli, ale wręcz sabotowały poprawę ich bytu. Tak było niedawno w stosunku do pewnej ilości dzieci polskich wysiedleńców w Niemczech, które Irlandzki Czerwony Krzyż zaprosił na leczniczy pobyt do Irlandii, a w stosunku do których warszawska Komisja repatriacyjna nie zgodziła się na wyjazd, uzasadniając to tym, iż „nie życzy sobie aby dzieci polskie w Irlandii znalazły się pod klerykalnymi wpływami”...

Tak jest i dziś, kiedy szwajcarska organizacja charytatywna musi dosłownie walczyć z władzami warszawskimi o przysłanie do Szwajcarii dwóch tysięcy polskich dzieci gruźliczych na trzymiesięczny pobyt. Warszawa robi co może, by realizację tego projektu utrudnić, argumentując, iż za te same szwajcarskie pieniądze dzieci mogą leczyć się w kraju.

Lecz... Oto nowe dramatyczne zagadnienie dzisiejszej Polski. Sprawozdania społeczników i lekarzy szwedzkich, szwajcarskich czy brytyjskich stwierdzają, iż w Polsce jest w tej chwili zaledwie 6.000 lekarzy, że brakuje szpitali, lekarstw, bandażi, instrumentów chirurgicznych, a ludzie — wycieńczeni niedożywieniem, powierającą i wstrząsami nerwowymi — chorują dziś więcej, niż kiedykolwiek. Ostatnio powrócił z Polski delegat szwajcarskiej instytucji charytatywnej „Don Suisse” (Dar Szwajcarii), p. Courvoisier i złożył przez radio dramatyczne sprawozdanie z tego, co widział w Polsce w dziedzinie sanitarnej: na 100 dzieci polskich zaledwie 24% wolne jest od gruźlicy, śmiertelność wśród noworodków sięga 50 %, waga noworodków jest o 30 % niższa od normal-

nej, a śmiertelność wśród młodzieży w wieku szkolnym wynosi 90 na 1000. W spustoszo- nym przez Niemcy kraju odbywa się straszliwa selekcja naturalna: giną bez ratunku ci wszyscy, których natura nie obdarzyła wyjątkową odpornością i tężyzną fizyczną.

\*

Kiedy pierwsi korespondenci zagraniczni dopuszczeni zostali do Polski i zaczęli opisywać jej nędzę, jej zniszczenie, rabunkową gospodarkę armii czerwonej i straszliwe stosunki bezpieczeństwa — zaalarmowana opinia Zachodu pocieszała się myślą, iż wprawdzie w Polsce jest ciężko i źle, ale że nastąpiły tam pewne przemiany dodatnie i że w tym ciemnym obrazie, jaki Allen, Gladwin Hill, Lambert czy Arnot, malowali w swych depeszach — istnieją przecież obok cieni również i światła. Światłami tymi miały być: reforma rolna, odzyskane ziemie zachodnie po Od- rze i Nissee, demokratyzacja życia społecznego, zniesienie przywilejów klasy posiadającej na rzecz poprawy doli chłopów i robotników.

Wszystkie te trzy iluzje rozwiąły się kiedy ludzie Zachodu przyrzekli się z bliska nowej polskiej rzeczywistości.

Reforma rolna, przyjęta z uznaniem przez opinię państw demokratycznych, wkrótce okazała się tylko demagogicznym manewrem mającym w łatwy sposób zapewnić nowemu reżimowi poparcie mas chłopskich.

Konieczność tej reformy, realizowanej zresztą już i przed wojną, dawno została uznana przez wszystkie postępowe sfery polskie, a rząd polski w Londynie plan jej przygotował i ogłosił, zamierzając wprowadzić go w życie. Plan ten był przez fachowców opracowany w najdrobniejszych szczegółach. Natomiast ówczesny tzw. „rząd lubelski” bez dostatecznie przemysłowego planu rozdał po prostu chłopom działki ziemi, nie troszcząc się o to, czy zdołają na nich wyżyć, ani też czym będą je uprawiać. Tak przeprowadzony nowy podział ziemi naraził całokształt polskiej gospodarki rolnej na poważne trudności, a doli chłopów nie poprawił. Skonstatowało to szereg dziennikarzy zagranicznych, jak np. belgijski korespondent socjalistycznego dziennika „Populaire” R. Lemaire — a kilku wyraziło przypuszczenie, iż „rząd warszawski” — pozostawiając owych nowych właścicieli zbyt małych działek ziemi bez narzędzi, nawozów i inwentarza, a często bez budynków — liczy na to, iż w tych warunkach chłopci sami będą zmuszeni sięgnąć do kolektywnej formy gospodarowania. Wtedy — ironizuje jeden z korespondentów amerykańskich — kolchozy staną się „wyrazem woli ludu” i nikt nie będzie mógł twierdzić, że zostali narzucone przemocą.

Sprawa ziem zachodnich była i jest szczególnym przedmiotem zainteresowania prasy obcej, która zresztą protestowała przeciwko przesunięciu granic Polski tak daleko na zachód. Podkreślając ofiarną pracę i energię z jaką Polacy zabrali się do kolonizowania tych terenów, wielu korespondentów poświęciło wstrząsające relacje ich doli na tych ziemiach, na których armia czerwona gospodaruje już bez żadnych ograniczeń, uważając je nadal za ziemie niemieckie, a więc wrogie i zdobyczne. Czytamy o gehennie ludzi, wypędzonych ze swych owdiecznych siedzib na wschód od linii Curzona, wędrujących tygodniami w najstraszliwszych warunkach na zachód — ku Odrze i Nissee z resztkami swego dobytku, na to, by tam zostać ograbionym z tych resztek przez czerwonych molojów i przekonać się, że ziemia wprawdzie jest — bezładne wsie i miasteczka opuszczone przez Niemców — ale że gospodarowanie na niej w obecnych warunkach bezpieczeństwa i przy zupełnym braku inwentarza i narzędzi jest po prostu niepodobniestwem.

Trzecim rozczarowaniem dla opinii Zachodu stał się układ stosunków społecznych w Polsce dzisiejszej. Szumnie reklamowane hasła demokracji, prawa proletariatu pracującego i równości obywatelskiej w praktyce dały wyniki wręcz odwrotne; robotnik, źle płatny i przeciążony pracą, utracił wiele z dawno nabytych w owej „faszystowskiej Polsce” praw, takich jak prawo strajku, wolność zrzeszania się i prawo wyboru miejsca pracy. W najcięższych gałęziach przemysłu wprowadzono najgorsze narzędzie wyzysku pracy robotnika — pracę akordową, a jedyny, dozwolony dziś w Polsce związek zawodowy jest narzęciem politycznym w rękach państwa, a nie organizacją broniącą interesów robotnika.

Ostatnio ukazał się w paryskim piśmie „Sindicalisme” artykuł J. Dannemuellera, pod wymownym tytułem „Robotnik w Polsce jest dziś niewolnikiem”, który analizuje w wyczerpujący sposób położenie dzisiejszego robotnika w Polsce i nazywa je po prostu skandalem, stwierdzając, że robotnik polski — po 6-letnim ucisku okupanta — nie odzyskał nawet tych praw i wolności, które przywrócono robotnikom niemieckim.

\*

Relacje o Polsce w prasie zagranicznej różne przybierają formy, odcienie i akcenty. Niektóre starają się tragiczną rzeczywistość stusować i szukać dla niej zawiłych usprawiedliwień i tłumacheń. Inne chwytają naiwnie — czasem nawet zupełnie świadomie — haczyk propagandy warszawskiej i usiłują obciążyć winą za wszystko złe dziejące się w Polsce owe „elementy reakcyjne”, które „sabotują” zarówno w kraju jak i zagranicą odradzanie się nowej Polski. Inne jeszcze są przeplatane uszczypliwymi uwagami na temat „polskiego romantyzmu”, „polskich mrzonek” i niezdolności Polaków do pogodzenia się z tym, co nazywają „rzeczywistością”, a co w tych warunkach tłumaczy się — niewolą. Ale większość publicznych informujących o dzisiejszej Polsce zdaje sobie sprawę z tragicznego losu sojuszników kraju, który został wydany na łup grupy agentów politycznych, narzuconych mu przez obce mocarstwo i rządzących krajem bezwzględnie w myśl tego mocarstwa dyrektyw. Poczucie to nie tylko wywołuje w opinii naszych sojuszników zachodnich pewien niepokój sumienia, ale staje się również źródłem głębokiego pesymizmu w ocenie moralnych owoców tej wojny i krytycyzmu w stosunku do polityki, która doprowadziła do tego stanu. W lapidarny sposób ujął to w swej prostej, a uczciwej relacji, stary angielski marynarz, b. woźny ambasady brytyjskiej w Warszawie, pisząc: „Jak świat może patrzeć spokojnie na to, że najwinniejszy nasz i pierwszy sojusznik traktowany jest dzisiaj gorzej od naszego największego wroga...”

em

## Śp. Aleksy Wdziękoński

W dniu 30 stycznia rb. zmarł w Jeruzolimie śp. Aleksy Wdziękoński, Konsul Generalny Rzplitej Polskiej. Reprezentował On prawowity Rząd Polski, to też śmierć Jego okryła żałobą całe uchodźstwo polskie w Palestynie. Pogrzeb śp. Aleksiego Wdziękońskiego stał się wielką manifestacją solidarności narodowej uchodźstwa polskiego i był widocznym wyrazem panującej wśród nas jedności, gdy idzie o obronę zasadniczych praw naszego państwa.

W pogrzebie wzięli udział liczni członkowie korpusu konsularnego, Konsul Generalny H. Rosmarin, przedstawiciele władz wojskowych, kierownicy placówek rządowych, Rada Naczelna Uchodźstwa Polskiego w Palestynie, przedstawiciele prasy, organizacji społecznych, oraz szkół polskich. Po nabożeństwie odprawionym w Kościele OO. Dominikanów orszak żałobny, liczący ponad 2 tysiące osób, ruszył na cmentarz na Górze Syjon, gdzie zwłoki śp. Konsula Generalnego Wdziękońskiego złożono na wieczny spoczynek.

Śp. Aleksy Wdziękoński był długoletnim pracownikiem Ministerstwa Spraw Zagranicznych, zajmując odpowiedzialne placówki konsularne w Strassburgu, Bytomiu, Wrocławiu i Essen. Od roku 1934 pracował w M.S.Z. na stanowisku zastępcy naczelnika oddziału prasowego, poświęcając się głównie organizacji polskiej propagandy kulturalnej zagranicą.

Podczas wojny pełnił kolejno obowiązki radcy Poselstwa R.P. w Sofii, Konsula w Stambule, a od maja 1943 r. piastował urząd Konsula Generalnego R.P. w Jeruzolimie. Na tym ostatnim stanowisku, mimo groźnych postępów śmiertelnej choroby, pracował do ostatniej chwili, uczestnicząc jeszcze przed śmiercią w posiedzeniach Rady Naczelnej Uchodźstwa Polskiego w Palestynie.

Zmarły posiadał liczne odznaczenia polskie i zagraniczne, ostatnio zaś otrzymał Komandorię Orderu „Polonia Restituta”.



# ANI POKÓJ, ANI WOJNA

## PRZEGLĄD POLITYCZNY

**STYCZEŃ** jest nieprzyjemnym miesiącem w Londynie. Ołowiane chmury, gęste mgły, przenikająca do szpiku kości wilgoć. Taki klimat nie działa kojąco, a raczej rozstraja i deprymuje.

Właśnie dnia 10 stycznia otwarto pierwszą sesję Organizacji Zjednoczonych Narodów. Król Anglii, witając 51 delegatów na bankiecie w pałacu Saint James, oświadczył podniośle: „Spoczywają na was oczy całej ludzkości!”. Premier Attlee zapewnił z przekonaniem: „Głęboko wierzę, że sprawy, iż Organizacja Zjednoczonych Narodów stanie się sukcesem...”. Przedstawiciel Stanów Zjednoczonych min. James Byrnes złożył optymistyczne oświadczenie, które w każdym Europejczyku musiało spowodować żywsze bicie serca: „Izolacjonizm amerykański umarł. Stany Zjednoczone utkwily w Europie aż po syję. Największym błędem polityki zagranicznej USA w przeszłości było wycofanie się z Ligi Narodów. Min. Byrnes zapewnił następnie, iż jest zupełnie niemożliwe, aby podobna rzecz miała się powtórzyć obecnie.

A potem przyszył bankiety, cockaile, toasty i wspólne fotografie... A nad Londynem zawisły ołowiane szare, jak nasza rzeczywistość, chmury...

Wiadomo było, iż Rosjanie nie są przyjemnymi partnerami, wiadomo było też, iż obrady w sprawie Persji, Grecji i Indonezji nie będą należały do sielankowych, nie przypuszczano jednak, iż Moskwa będzie prowadziła opozycję zasadniczą wobec każdego wniosku, nawet wobec wniosków jej własnych.

Już na pierwszym posiedzeniu OZN ambasador Gromyko zaoponował przeciwko kandydaturze p. Spaaka na przewodniczącego Zgromadzenia, na drugim usiłował sparaliżować działalność Rady Bezpieczeństwa, na trzecim sprzeciwił się dopuszczeniu Międzynarodowej Federacji Związków Zawodowych do obrad Zgromadzenia w charakterze doradczym, na jednym z późniejszych — rozdzielił szaty z powodu budżetu OZN w wysokości 25 milionów dolarów rocznie. Zdaniem Rosji, pókiż można okupić mniejszą sumą.

Z tych wszystkich wystąpień delegacji sowieckiej najbardziej niewątpliwie oryginalnym była opozycja przeciwko zaproszeniu Międzynarodowej Federacji Związków Zawodowych do OZN, tj. przeciwko... swemu własnemu wnioskowi zgłoszonemu uprzednio. Stało się tak dlatego, iż p. Gromyko w międzyczasie przekonał się, iż dopuszczenie do OZN organizacji, w której większość posiadają przedstawiciele socjalizmu zachodnio-europejskiego, byłoby niepożądane dla interesów państwa dyktatury proletariatu.

### STARE PRZYSŁOWIE

Ale prawdziwa burza w OZN zaczęła się dopiero z chwilą przyjazdu komisarza Wyszyńskiego. Przypadał trzebia, iż jechał on do Londynu drogą dziwnie okreśną. Najpierw w Bukareszcie „rozszerał podstawy rządu dr. Grozy”, potem w Sofii „dopuszczał do rządu opozycję” następnie w Moskwie „badał sytuację w związku z dymisją Berlii”, aż wreszcie, gdy wsiadł na samolot, okazało się, iż „warunki atmosferyczne” są dziwnie nieczytelne dla p. zastępcy komisarza spraw zagranicznych.

Już w swym pierwszym wystąpieniu, komisarz Wyszyński zmierzył w gwałtownym pojedynku szpady z min. Bevinem. Przedmiotem obrazu — była obecność wojsk brytyjskich w Grecji. Min. Bevin, który miał te przewagę nad dawnymi przeciwnikami prokuratora Wyszyńskiego, iż nie był „przed rozprawą” badany kilkakrotnie razy, nie tylko „nie zeznał”, iż „prawdą jest, że wojska brytyjskie specjalnie po to przybyły do Grecji, aby zagrażać pokojowi świata”, nie tylko nie ujawnił, że „Wielka Brytania zamierza wszcząć nową imperialistyczno-kapitałistyczną wojnę przeciwko Związkowi Sowieckiemu”, ale z pasją i furją ośmieszył wszystkie dialektyczne argumenty swego przeciwnika. Co więcej — min. Bevin w sposób mistrzowski przeprowadził natychmiastowy kontratak, oskarżając wszystkie partie komunistyczne na świecie o zsynchronizowaną akcję antybrytyjską według wskazówek z Moskwy, — i zażądał od Rady Bezpieczeństwa jasnej i wyraźnej odpowiedzi, iż w wojska brytyjskie w Grecji pokojowi świata nie zagrażają.

Wszyscy — oprócz Rosji — członkowie Rady Bezpieczeństwa poparli stanowisko min. Bevina, zdając sobie jednak sprawę, że uchwalenie jednoznacznie jego wniosku byłoby równoznaczne z moralnym potępieniem metod Moskwy.

I teraz zaczęły dziać się rzeczy nieco dziwne. P. Wyszyński zagroził prawem weta, „Prawda” moskiewska zagrzębiała, iż międzynarodowo fałszywym podnosi głowę, rozbiła jedność Zjednoczonych Narodów i zagraża „wykutej w walce przeciwko hitleryzmowi przyjaźni milijonów pokój narodów”. Nazajutrz już min. Bevin przemawia głosem „zmęczonym” (tired), a p. Wyszyński zgłosił wniosek kompromisowy. W rezultacie sprawę zakłajstrowano „wpisaniem do protokołu” oświadczeń wszystkich członków Rady Bezpieczeństwa. No, a potem, min. Bevin i prokurator Wyszyński uściśnili sobie „gorąco” ręce i może nawet poszli na wódkę i sfotografowali się z uśmiechniętymi twarzami.

Tak i dawniej bywało w starej Lidze Narodów, tylko w lśnących, dyplomatycznych rękawiczkach... Tak i obecnie dzieje się w młodej OZN, tylko bardziej brutalnie i bardziej szczerze.

Stare i mądre angielskie przysłowie powiada: „You can't teach old dogs new tricks”. — „Nie można starych psów nauczyć nowych sztuk”...

### O TEORII PODZIELNOŚCI

Trudno jest, oczywiście, choć na chwilę przypuścić, aby p. Wyszyński, wszczynając debatę grecką nie znalazł rozkładu sił w OZN i staczał horemeryckie boje tylko po to, aby w wyniku otrzymać mniej lub więcej honorowy dla stron obu — protokół. Atak p. Wyszyńskiego był niczym innym, jak tylko efektywnym manewrem dywersyjnym celem odwrócenia uwagi świata od tego, co się dzieje w Persji. Najbliższym bowiem celem realistycznej polityki sowieckiej jest Bliski Wschód, kłinem zaś rozbijającym wpływy angielskie w tej części Azji jest Persja.

P. Wyszyński właśnie, znając rozkład sił w OZN, wolał nie ryzykować „debate perskiej” w Radzie Bezpieczeństwa i dlatego niespodziewanie wyraził gotowość prowadzenia pertraktacji z Teheranem, ku czemu Moskwa czuła nieprzeparty wstręt w ciągu ostatnich miesięcy.

Nowy premier perski, p. Sultaneh, jest człowiekiem nie tylko bardziej ugodowym niż jego poprzednicy, ale również i lepiej kalkulującym. Anglia jest daleko, a jego prywatne posiadłości

w Azerbejdżanie blisko; min. Byrnes oświadczył wprawdzie, iż „Ameryka tkwi po syję w Europie”, — nie powiedział tego o Bliskim Wschodzie, ostatni zaś żołnierz amerykański już dawno opuścił ziemię irańską. Teheran zresztą ma przykra tradycję w historii drugiej wojny światowej. Tu odbył się pierwszy zjazd „Wielkiej Trójki” i tu narodziło się Monachium azjatyckie, które uczyniło z Karty Atlantyckiej i Czterech Wolności prezydenta Roosevelta zapomniane świstki papieru.

Premier Sultaneh nie tylko dobrze kalkuluje, ale i również ma doskonałą pamięć. Niewątpliwie zna on słynne powiedzenie komisarza Litwinowa w Lidze Narodów, iż „pókiż jest niepodzielny”. Pókiż — nie, ale naftę, zwłaszcza angielsko-amerykańską, świetnie można dzielić. Jeśli Persja miała co do tego wątpliwości, to nagły „wybuch demokracji” w Azerbejdżanie przekonał ją, iż popełniła kardynalny błąd. Premier Sultaneh zrozumiał to, i aby „naprawić grzechy przeszłości”, wyraził gotowość wyjazdu do Moskwy, tej Mekki wszystkich „zaprzężonych rządów”, gdzie niewątpliwie zostanie należycie pouczony, oświecony, przekonany i „rozgłoszony ze starych błędów” swych poprzedników.

Wojska sowieckie mają opuścić Persję 2 marca r.b., ale dzięki „operacji azerbejdżańskiej” Persja została odcięta od Turcji, a czołgi rosyjskie stanęły w pobliżu mossulskich pól naftowych i niepodległość Iranu stała się fikcją.

Niezaprawdę od tego „faktu dokonanego”, Rosja usiłuje wszystkimi sposobami osłabić prestiż brytyjski na Bliskim Wschodzie i pozyskać dla siebie świat arabski. Głosuje za wyborem Egiptu do Rady Bezpieczeństwa, popiera Liban i Syrię w ich zatargu z Francją i Anglią, aprobeje rewizję traktatu angielsko-egipskiego. Co więcej — aby zaskarbić sobie bez zastrzeżeń sympatię Arabów, uderza w Żydów przez przedstawiciela angielskiej partii komunistycznej Piratina, który, składając zeznania przed amerykańsko-angielską Komisją Badawczą w sprawie Palestyny, potępił syjonizm jako „instrument polityki imperialistycznej” i udzielił rady Żydom europejskim, aby „pozostali tam gdzie są, gdyż warunki się poprawia”. Ukoronowaniem tej akcji dyplomacji sowieckiej ma być wskrzeszenie kalifatu... w Rosji! Kalif mianowany przez NKWD! Jakże uboga była fantazja Szeherezady w bajkach „Tysiąca i jednej nocy”!

Ponieważ Liga Arabska — według powszechnej opinii — powstała z inspiracji Londynu, Moskwa usiłuje ją rozbić, wyszukując spory dynastyczne władców arabskich. Król Ibn Saud, który znajduje się na wrogiej stopie z panującą w Iraku i Transjordanii dynastią Haszemitów, jest faworyzowany przez Kreml, i p. Molotow wyraził nawet gotowość mianowania swego przedstawiciela w Arabii Saudyjskiej.

Jakie są zamierzenia Rosji na Bliskim Wschodzie? Partie w kierunku linii Berlin-Bagdad dwukrotnie pchnęły Niemcy do wojny światowej. Moskwa dąży do ciepłych wód Zatoki Perskiej dwiema drogami: przez Ankarę i przez Teheran. Czy potrafi zrealizować swe plany drogą pokojową? Wielka Brytania może zgodzić się ewentualnie na podział wpływów w Persji jak za

czasów caratu, ale wydaje się, iż dalej jej ustępstwa nie sięgną. Moskwa nad Zatoką Perską, — to śmiertelny cios w Imperium Brytyjskie. Anglia może wyrzec się Azerbejdżanu, jak wyrzekła się Sudetów, ale nie może skapitulować w delcie Eufratu w r. 1946, jak nie skapitulowała w delcie Wisły w r. 1939.

### WIEDENSKA LEKCJA

W sytuacji o ileż szczęśliwszej znajdują się nisko cywilizacyjnie stojące kraje Bliskiego Wschodu, niż „wyzwolone”, „demokratyczne” i „suwerenne”, o starej kulturze i wielkich tradycjach państwowych — narody tzw. „Europy sowieckiej”. Czasem tylko oświadczenia przedstawicieli dyplomatycznych Anglii i Stanów Zjednoczonych rozświetlają sytuację w tych krajach. Wspomniemy tylko dwie opinie, min. Bevina i min. Byrnesa, o udziale policji bezpieczeństwa administracji warszawskiej w morderstwach politycznych, oraz wątpliwości wyrażone przez nich, co do możliwości odbicia się wolnych wyborów w Polsce w takich warunkach.

Naprawdę wolne wybory odbyły się w Austrii. Zwyciężyli katolicy i socjaliści, komuniści zaś zdobyli niecałe 2 procent głosów. Po utworzeniu nowego rządu w Wiedniu, Rosja natychmiast zmieniła zasadniczo swą dotychczasową przyjazną politykę wobec Austrii. Poparła żądanie Włoch o otrzymanie południowego Tyrolu i żądanie Węgier o otrzymanie rejonu Oedenburga, żądania Jugosławii domagające się zwrotu Karyntii. Ponadto odmówiła zmniejszenia kontyngentu wojsk okupacyjnych i zażądała przyjęcia z powrotem do służby państwowej w dolnej Austrii urzędników — komunistów, którzy ustąpili po ogłoszeniu wyników wyborów. Komuniści przegrali wybory — Austria zostanie przykładnie ukarana!... Ma to być pedagogicznym przykładem dla innych „zainteresowanych”.

W niedzielę odbyły się wybory w Rosji. Gdyby Rosja była państwem normalnie demokratycznym, wybory te wzbudziłyby zainteresowanie całego świata. Nikt jednak nimi nie przejmował się, gdyż wynik ich był z góry przesądzony. Równocześnie dymisja Berlii jest oznaką niepomysłnej dla niego rozgrywki z grupą marszałkowsko-generalską, która z każdym dniem zyskuje na sile. Podobno bezpośrednim powodem upadku wszechwładnego do niedawna komisarza NKWD był jego zatarg z marszałkiem Timoszenko na tle tworzenia przez tego ostatniego terytorialno-narodowej armii ukraińskiej.

### USTĄPIENIE DE GAULLE'A

Francja jest jednym z nielicznych krajów Europy, gdzie hasło rooseveltołowskie „wolność od strachu” nie stało się jeszcze krwawa ironia. Ale w początkach stycznia Francja przeżyła głęboki wstrząs — gen. de Gaulle ustąpił.

Dlaczego tak się stało? Wszak nie został on obalony przez parlament i wciąż miał poparcie jego większości. Co tedy skłoniło de Gaulle'a do wycofania się z czynnego życia politycznego w tak przełomowym dla Francji okresie?

Katolik de Gaulle był contre-cœur ojcem Czwartej Republiki, jak w roku 1873 marsz. MacMahon został — wbrew swym monarchistycznym przekonaniom — pierwszym konstytucyjnym prezydentem Trzeciej.

## O Adolffie Nowaczyńskim

JEDEN z ostatnich numerów „Orla Białego”, w którym to piśmie skupia się coraz więcej pisarzy przebywających na emigracji, — przynosi w „Uwagach” St. Włodarza wzruszające wspomnienie o Adolffie Nowaczyńskim. Autor wspomnienia, ukrywający się pod pseudonimem „Włodarz”, jest znanym w Polsce publicystą i działaczem społecznym. Poniżej przedrukujemy ustęp z jego „Uwag”:

„Adolf był od czasu wojny wielkim jałmużnikiem; sam ciężko chory na serce, stary, sterany — niósł niezmordowanie pomoc zwłaszcza chorym kolegom. Pisząc te słowa sam doznał takiej wrzuszającej pomocy; otrzymał mianowicie od niego przyniesiony oświadczenie o odległego pawilonu w Dzieciątka Jezus kilogram masła i litr mleka... To było regułą. Na pomoc od Adolfa mógł liczyć każdy z nas. Bez względu oczywiście na różnice poglądów. O — chociaż by ja. Małoż to razy skalkulowałem sobie z pazurami do oczu, zwłaszcza za moich poznańskich czasów...”

Pomagał oczywiście ten wojujący antysemita także kolegom Żydom. Sam, jak wiadomo, majątku żadnego nie posiadał, mógł więc jedynie pomóc „organizować”, czyli, mówiąc po prostu, wzbrywać ją. Patrzyłem na niezmordowane wdzięki Adolfa. Starczym, płaczącym się już nie raz krokiem, chodząc tak od drzwi do drzwi, od kłamki do kłamki. Widziałem, jak wspinając się na III czy IV piętro (windy w Warszawie z reguły nie były czynne, a tam, w urzędach, gdzie były czynne, używanie ich nie było dozwolone Polakom) — zataczał się i łapie za serce. Jak siedząc — w poczekalni jakiegoś dygnitarza samorządowego czy bankowego — zasypia na krótką chwilę i potem nagle i gwałtownie budzi się, biedny, schorowany, nieugięty starzec.

Tak chodząc, drugi, rzec by się chciało, Brat Albert, wyzbrał tu worek cukru, tam cetrnar mąki kartoflanej, tu 10.000 złotych, a tam znowu kilogram masła. Tak wydeptał również (przy pomocy jeszcze dwóch kolegów) kilka miejsc dla pisarzy w pewnym domu wypoczynkowym w okolicach Warszawy. Dom wypoczynkowy dla pisarzy... W trzecim, czy czwartym roku wojny i okupacji niemieckiej...

Pojechała pierwsza partia na tydzień. Udało się. Wrócili wszyscy opaleni — i wolni. Pojechał w drugiej czy trzeciej grupie sam inicjator. Z kimże? Oczywiście z Czapieńskim. Dołączył się jeszcze do nich Irzykowski. Coś ze dwa dni minęły spokojnie. Trzeciego — przyjechali goście. Kilku gospodarców. Weszli na werandę podczas podwieczorku. Irzykowski — sam opowiadał mi potem tę scenę — jak to Irzykowski; zawsze lubił chodzić własnymi drogami; porwał tomik jakiegoś szczebiotliwego poety i nie czekając na ciąg dalszy, dał drapaką do ogrodu. Z ogrodu na łąkę. Z łąki — do lasu... Chodzili potem gesta-

powcy po ogrodzie, po łące. Do lasu nie zapuszczali się... Tak ocalał Irzykowski.

Natomiast tamci dwaj, niby to całkowicie niewinni kuracjusze, okazali kennekarty i popijali kawkę na werandzie. Poproszono ich jednak wraz z wszystkimi lokatorami domu na Szucha.

Na Szucha Czapieńskiego zidentyfikowano bez trudności, stary pepesowiec, notoryczny poseł na Sejm, osobistość wybitna i powszechnie znana, poszedł do Oświęcimia. Tam umarł zamęczony.

Nowaczyński poprzek Pawiak, po jakimś czasie wyszedł. Zbity kilkakrotnie, na jednym ze śledztw w gmachu Gestapo przy Al. Szucha (w dawnym naszym Ministerstwie Oświaty) nie spодobał się widocznie eskortującemu go pacholce. Pacholek rzucił go więc ze schodów. Wtedy, przy tym upadku, odłamki szkieł poraniły mu oko, jakie posiadał. (Tamto drugie, którego już nie posiadał, stracił Nowaczyński w polityczno-bandyckim napadzie, jakiego padł ofiarą kilka lat przed wojną).

Odwiedziłem go po powrocie z więzienia w jego pokoju sublokatorskim. Mieszkał wówczas przy ul. Szopena. Leżał na jakiejś secesyjnej kanapie, zasuniętej za ogromny fortepian. Malenki i jeszcze zdawałoby się mniejszy na tle tych monstrualnych mebli, bardzo osłabiony, mówił głosem chropowatym i urwykającym się. Ale — żartował. Zartował mianowicie, że pierwsze oko wybił mu obrońcy Żydów, a drugie usiłował mu wybić przesładowcy Żydów... Istotnie, — w śledztwie zarzuceno Nowaczyńskiemu m. inn. współdziałanie w ukrywaniu Żydów zbiegłych z ghett.

Żył jeszcze jakiś czas po tej przygodzie, ale stan jego zdrowia nie poprawił się już. Pomimo to wydeptywał dalej przedpokoje w J.K.O. miasta Warszawy i powiatu warszawskiego, w bankach, spółdzielniach i spółkach, a także u co zamożniejszych burżujów o endeckiej przeszłości, wyzbrając pożyczki wekslowe i bezzwrotne zapomogi dla młodszych kolegów; prawników, lewicowców, klerykalów, wolnomyslicieli, katolików, przechrztów i Żydów.

Gdy dzisiaj w Korpucie wśród tutejszych wydawnictw spotykam książeczkę Nowaczyńskiego pt. „Najpiękniejszy człowiek naszego pokolenia”, wzruszającą opowieść o Bracie Albercie-Chmielowskim, wydaje mi się, że nigdy jeszcze autor nie był tak godny swojego bohatera-ideału... W mojej pamięci też, chociaż znam dobrze Nowaczyńskiego polemiste, publicyste, a nawet paszkwilanta i chociaż sam byłem kiedyś przedmiotem jego piękających inwektyw, — pozostał Adolf z tego ostatniego okresu. Nie tylko pierwszorzędnym dziennikarzem, autoru wielu świetnych książek i wielu niemiętych świetnych sztuk scenicznych — i nie tylko autor życiorysu miłosiernego Brata Alberta — co już jest bardzo dużo. Ale tego Brata Alberta pokorny uczeń. Co jest nierównie więcej”.

Rozgrywka poszła o armię i o stosunek rządu do Zgromadzenia Narodowego. Dla gen. de Gaulle'a armia była nie tylko zbrojnym ramieniem narodu, ale i najważniejszym instrumentem polityki zagranicznej. Bez silnej armii Francja nigdy nie potrafi — zdaniem de Gaulle'a — utrzymać linii Renu. Ale rozbudowana armia z przewagą oficerów o przekonaniach konserwatywnych stałaby się niebezpieczna dla polityki lewicowych, zarzucających korpusowi oficerskiemu sympatie nie tylko dla Giraud, ale i dla Petain'a.

Gen. de Gaulle, który znajdował się w notorycznie złych stosunkach z komunistami, w rzeczywistości zrezygnował na skutek stanowiska zajętego przez sympatyzujących z nim socjalistów. W sytuacji, jaka wytworzyła się na terenie Zgromadzenia Narodowego, socjaliści stali się jęczącym wagi. Idąc wspólnie bądź z postępowymi katolikami, bądź z komunistami, mogli przechylić szalę na prawo lub na lewo. Każda jednak decyzja może stać się dla nich, tak bardzo osłabionych po wyborach, niemal śmiertelna. Jeśli pójdą w bloku z katolikami — komuniści oskarżą ich o sojusz z reakcją; jeśli sprzymierzą się z komunistami — zostaną przez nich polknięci. Socjaliści przeto grali na zwłokę, latali dziury i hamletyzowali, zaslaniając się autorytetem de Gaulle'a. Ale socjaliści francuscy są czyste krwi antymilitarystami. Ich szeregów partyjne składają się obecnie przeważnie z drobnych urzędników i drobnomieszczaństwa. Im wyższy będzie budżet armii, tym niższe będą pensje urzędników i dotkliwsze podatki. Liderzy socjalistyczni Blum i Auriol chcieli popierać de Gaulle'a, ale nie za cenę zwiększenia budżetu wojskowego. Tej ceny socjaliści zapłacić nie mogli żadną miarą.

Drugą „kością niezgody” była sprawa stosunku rządu do parlamentu. De Gaulle i jego zwolennicy pragnęli rządu niezależnego i silnej władzy wykonawczej na wzór amerykański, komuniści zaś — rządu całkowicie uzależnionego od parlamentu i pozbawionego wszelkiej możliwości samodzielnego działania. Pierwsza alternatywa oznaczała pełnię władzy dla gen. de Gaulle'a, przynajmniej do czerwcowych wyborów, druga — sprowadziłaby Generala do roli marionetkowego premiera, wykonującego dyrektywy centralnego komitetu francuskiej partii komunistycznej, a więc pośrednio — Moskwy. Partia socjalistyczna znów znalazła się pomiędzy młotem z sowieckim sierpem i kowadłem z lotaryńskim krzyżem. I w tym zatargu, socjaliści, obawiając się demagogii komunistycznej, nie mogli udzielić poparcia gen. de Gaulle. General przeto nie czekał na rozgrywkę w niewygodnych dla siebie warunkach i wolał odejść sam. Tu trzeba zresztą dodać, że w okresie swego premierostwa de Gaulle niejednokrotnie musiał czynić koncesje komunistom, co m. inn. wyraziło się w pośpiesznym uznaniu tzw. rządu warszawskiego.

We francuskich kołach politycznych twierdzi się, iż odejście gen. de Gaulle jest raczej zręcznym manewrem przedwyborczym. W czerwcu odbędą się wybory do parlamentu francuskiego. Francja znajduje się obecnie w niesłychanie ciężkich warunkach gospodarczych. Brak żywności, odzieży, obuwia, mieszkają, inflacja i czarny rynek zwiększają z dnia na dzień niezadowolenie i rozgorzczenie ludności. Komuniści dotychczas mieli wygodnego kozła ofiarnego — de Gaulle. Teraz bezpośrednio będą odpowiedzialni za rządy. Komuniści, pozbawiając się de Gaulle'a, osiągnęli wprawdzie zwycięstwo, ale może to być wkrótce zwycięstwo pyrrusowe. Celem komunistów było utworzenie rządu socjalistyczno-komunistycznego, gdyż wtedy nie tylko przeprowadziliby swój program wewnętrzny, ale i zasadniczo zmieniliby politykę zagraniczną. Frańcoję Min. Bidault odszedłby, idea Bloku Zachodniego zostałaby pogrzebana. Tak się jednak nie stało. Socjaliści przeprowadzili zasadę rządu koalicji trzech stronnictw i komuniści nie zostali dopuszczeni do kluczowych tek. Sprawy zagraniczne i wojskowe nadal znajdują się w rękach zwolenników de Gaulle'a.

Pierwsze rozporządzenia nowego socjalistycznego premiera Gouin'a pod hasłem „obrony franka” były, jak stwierdza paryski korespondent Reutera Harold King, „strumieniem zimnej jak lód wody”. Francja ma nowy rząd, ale nawet komentarze radiowe ogłoszone po jego powstaniu, pozbawione były zwykłego tradycyjnego „urzędowego optymizmu”.

Francuscy mężowie stanu odznaczają się długowiecznością i niezwykłym wigorem życiowym. Clemenceau wygrał wojnę, dźwigając ósmy krzyżyk, Foch — siódmy. Gen. de Gaulle ma niewiele ponad 50 lat. Trudno przypuścić, — aby resztę swego życia poświęcił pisanii pamiętników lub sadzeniu kwiatów na Rivierze. De Gaulle uratował Francję w r. 1940 przed hańbą, w roku 1944 — przed wojną domową i, być może, w roku 1946 uratuje ją przed anarchią.

### FORMUŁA TROCKIEGO

Ale nie tylko zniszczona Francja musi zaciskać pasa. W zwycięskiej Anglii wprowadzono w ubiegłym tygodniu drastyczne ograniczenia żywnościowe. Anglia wróciła do wojennego gatunku chleba. Bogata Ameryka musi ograniczać spożycie, aby przysięść z pomocą głodującym narodom Europy i Azji. Na terenach objętych wojną zniszczono dziesiątki tysięcy gospodarstw rolnych, wymordowano miliony ludzi, a jednocześnie kraje produkujące zboże — Argentyna, Australia i Południowa Ameryka — musiały ograniczyć eksport na skutek nieurodzaju. Dramatyczny apel prezydenta Trumana do narodu amerykańskiego i prezesa UNRRA, Lehmana, malują wymownie grozę sytuacji.

Gdy dyplomaci toczą w OZN zacięte dyskusje o takie czy inne subtelności proceduralne w takiej czy innej komisji — kilkadziesiąt milionów ludzi w Europie i kilkaset w Chinach stanęło w obliczu głodu, chorób i bezdomności. Tętent kopyt jeźdźców Apokalipsy straszliwym echem rozlega się po całym świecie. Czy wstrząśnięte będą sumienia możnych świata po-jałtańskiego i po-pocdamskiego?...

Rok 1946 zaczął się tedy pod złowróżbnymi auspicjami. Ołowiane chmury nad Londynem zaciążyły nad całym światem tak bardzo tęskniącym do pokoju, oczywiście prawdziwego, a nie tego „dziwnego” pokoju, który jest obecnie.

Słynna formuła Trockiego z roku 1918 — „ani pokój, ani wojna” — została niespodziewanie urzeczywistniona w innym politycznym klimacie...

wp.



# KRONIKA KULTURALNA

## NOWE KSIĄŻKI

— „**Rosja wczoraj i dziś**”. Pod tym tytułem ukazała się w Jerozolimie książka Włodzimierza Bączkowskiego. (Wł. Bączkowski: „Rosja wczoraj i dziś”. Studium historyczno-polityczne. Str. 246. Jerozolima, 1946. Nakładem autora). Główną tezą autora jest podkreślenie roli pierwiastków azjatyckich w kulturze rosyjskiej, co wywarło decydujący nieraz wpływ na zasady i taktykę polityki rosyjskiej. Bączkowski charakteryzuje najpierw istotę siły rosyjskiej, po czym omawia przemiany, jakie zaszły w taktyce komunistycznej podczas obecnej wojny, zwracając szczególną uwagę na nawrót do tradycji, zmianę form pracy Kominternu, wykorzystywanie cerkwi jako nowego narzędzia propagandy i wpływów państwowości rosyjskiej, by wreszcie zająć się obszernie polityką sowiecką na wschodnich i zachodnich granicach Związku Sowieckiego. Książka zawiera wiele interesującego, często trochę zupełnie nowego, materiału informacyjnego. — W niniejszym numerze „W Drodze”, drukujemy na str. 2 pt. „Polityka sowiecka w Azji” wyjątki z pracy Bączkowskiego.

— **Pamiętniki amb. Ciechanowskiego**. Ambasador polski w St. Zjednoczonych, J. Ciechanowski przygotował do druku książkę, będącą obrazem jego pięcioletniej misji dyplomatycznej w Stanach Zjednoczonych. Pamiętnik amb. Ciechanowskiego opiera się na urzędowych dokumentach i stanie się niewątpliwie sensacją polityczną na amerykańskim rynku wydawniczym.

— **Instytut Pilsudskiego w Ameryce**. Instytut Pilsudskiego w Ameryce (Detroit) zapowiada wydanie książki zbiorowej pt. „Sprawa polska w parlamencie angielskim”. W skład Instytutu wchodzi m. inn. b. szef sztabu polskiego, gen. Stachiewicz, który pisze pracę o stopniu przygotowania Polski do wojny z Niemcami, oraz gen. Kutrzeba, pracujący nad monografią bitwy pod Kutnem.

— **Antologia poezji polskiej**. Nakładem paryskiej filii Księgarni Gebethnera ukazała się, w układzie Stanisława Lama, antologia wierszy polskich, powstałych podczas wojny. Poświęca ona wiele miejsca przede wszystkim utworom napisanym we Francji i Kraju, raczej pobieżnie traktując inne polskie środowiska literackie. Spośród autorów, przebywających w Palestynie — znajdujemy w antologii Lama nazwiska Zdz. Broncia i M. Petry.

— „**Aria z kurantem**”. Pod tym tytułem ukazał się w St. Zjednoczonych nowy tom wierszy Jana Lechonia, wydany nakładem „Tygodnika Polskiego”. O poezjach Lechonia napiszemy obszerniej, gdy tylko nadejdą egzemplarze nowego jego tomu. Lechoń, obok Balińskiego, jest pisarzem, którego twórczość wojna obudziła z milczenia.

— **Spuścizna po Micińskim**. Wśród rękopisów pozostawionych przez zmarłego we Francji eseistę polskiego, B. Micińskiego, znajduje się studium pt. „Portret Kanta”. Prawdopodobnie z pozostałych papierów uda się odtworzyć oryginalny odczyt Micińskiego o Karolu Szymanowskim, z którym Miciński był w bliskiej przyjaźni.

— **„The Leper King”**. W ślad za „Blessed are the meek” wyszedł w angielskim przekładzie dalszy tom cyklu Z. Kossak-Szczuckiej, „Król trędowaty”.

— **„The Golgotha Road” Wańkowicza**. Nakładem Komitetu Narodowego Amerykanów polskiego pochodzenia ukazał się przekład angielski znanej broszury Wańkowicza: „Dzieje rodziny Korzeniowskich”, pod tytułem zmienionym na „The Golgotha Road”.

## CZASOPISMA

— **„Orzeł Biały”**. Ostatnim numerem „Orla Białego”, jaki otrzymaliśmy przed oddaniem bieżącego zeszytu „W Drodze” do druku — jest numer z dn. 27 stycznia r.b. (Nr. 4 (191) rok VI).

Specjalnie wyróżniony drukiem artykuł redakcyjny na pierwszej stronie numeru mówi o „chwiałach trudnych i poważnych”, jakie znów przeżywamy, zwracając uwagę na akcję przeciw Korpusowi, która „prowadzona jest od zewnątrz, albowiem dotychczas nie udało się rozbić, ani osłabić spistości Korpusu od wewnątrz”. „Krytyczne chwile — kończy redakcja — można opanować tylko mocnymi nerwami, niesłabnącą wolą i solidarnością wewnętrzną. Tym zawsze zwycięża 2. Korpus i tym — wierzymy — przezwycięży również obecne trudności”.

Numer przynosi ponadto artykuł Janosty o polityce kredytowej St. Zjednoczonych, rozważania A. Kubiaka „Czy uda się uniknąć wojny?”, reportaż K. Hrabyka „Polacy w Niemczech”, recenzję z nowej premiery T. Dramatycznego 2. Korpusu — „Słubów Panińskich”, z temperamentem napisany obszerny felieton J. Bielatowicza o Rzymie, szkic historyczny K. Wiskonta o „Orle Białym” z lat 1819—1820 i prasie polskiej w początkowej dobie Królestwa Kongresowego, artykuł S. Gryziewicza o „Francuskim kryzysie populacyjnym”, sylwetkę Aleksiego Kupra — „szarej eminencji „Ministerstwa Kultury i Sztuki” w Warszawie, komentarz S. Mory do ostatnich zmian wewnętrznych w Sowietach (ustąpienie Berli) oraz zwykłe działy: Tygodniowy Przegląd Wydarzeń, Dokumenty, Przegląd Prasy.

Z pożytkiem dla czytelników „W Drodze” należałoby streścić uwagi o francuskiej sytuacji ludnościowej i przynajmniej w wyjątkach przedrukować wspomniany wyżej reportaż Hrabyka, sygnalizujący katastrofalną sytuację ludności polskiej w Niemczech, która urasta już do miar nowej tragedii narodowej. Niestety, w 8-stronicowym miesięczniku brak miejsca krepuje wiele chęci i zamiarów.

— **„Wspomnienia i wspominki”**. Pod powyższym tytułem ukazał się w Londynie nowy tomik Biblioteki „Wczoraj i dziś”, wydawanej przez M. Grydzewskiego. Numer otwierają wiersze Lechonia, Olechowskiego, Wierzyńskiego i Janty-Polczyńskiego. Stefan Snopkowski podaje „wspomnienia sejmowe”, Ignacy Baliński pisze o „salonie Deotymy w dawnej Warszawie”, A. Bogusławski o tradycjach redakcyjnych „Kurieru Warszawskiego”, Z. Nowakowski poświęca swe krakowskie wspomnienia pierwszym latom profesury Ign. Chrzanowskiego na Uniw. Jagiellońskim, W. Grubiński pisze o A. Nowaczynskim, a J. Czapski drukuje opis swych przeżyć w szpitalu z czasów tworzenia się armii polskiej w Rosji.

Interesującą częścią każdego tomu Biblioteki

„Wczoraj i dziś” jest dział retrospektywny. Tym razem przynosi on fragmenty „Pamiętników” Paska, wspomnień Rzewuskiego, Rufina Piotrowskiego, Wład. Mickiewicza, H. Korwin-Milewskiego oraz szczególnie zwracający uwagę wyjątek z pamiętnika Jana Klińskiego, opisujący egzekucję zdrajców przed ratuszem warszawskim 9 maja 1794 roku.

— **Z kart „Tygodnika Polskiego”**. Ostatnio otrzymaliśmy trzy nowe numery wydawanego w Ameryce przez Jana Lechonia „Tygodnika Polskiego”. (Nr. 49, 50, 51 — 1945 r. Nr. 1 — 1946). Przynoszą one m. inn. dalszy ciąg studium Jana Kucharzewskiego: „Odbudowanie Polski a państwa zachodnie”, reportaże J. Laskowskiego z Niemiec, korespondencje L. Bergera o zagadnieniach Środkowego Wschodu, interesujące informacje J. Wolnego o gospodarczej sytuacji Polski, wiersze K. Wierzyńskiego, wyjątki z arcydzieł literatury polskiej, oraz bogatą, jak zawsze, kronikę życia polskiego w Ameryce.

— **„Iridion”**. Pod powyższym tytułem ukazuje się we Włoszech periodyk włoski, wydawany przez 2 Korpus, redagowany przez C. Verdianego i poświęcony głównie stosunkom kulturalnym polsko-włoskim. Ostatni zeszyt, piąty skolei, przynosi artykuły A. Rusilly, J. Czapskiego, C. Verdianego, T. Terleckiego, M. Bersano-Beggy, oraz liczne przekłady z dawnej i współczesnej poezji polskiej. Pismo cieszy się dużym zainteresowaniem we włoskich kręgach artystycznych i naukowych.

— **„Na szlaku Kresowej”**. W ostatnich dniach nadszedł do Jerozolimy nowy numer miesięcznika, wydawanego przez Referat Kultury i Prasy Kresowej Dywizji Piechoty. Redaktorem pisma jest Witold Zahorski, zasłużony na terenie Wilna działacz oświatowy, całość zaś miesięcznika pięknie świadczy o ambicjach kulturalnych wydawcy, tj. Dywizji Kresowej, która jedna spośród jednostek 2. Korpusu potrafiła zdobyć się na tak poważną i obszerną publikację.

Numer 11 (29) otwiera tekst przemówienia Herlinga-Grudzińskiego, wygłoszonego w Rzymie na Poranku Listopadowym. Grudziński podkreślił, — co zresztą staje się coraz bardziej odczuwaniem młodego polskiego pokolenia — że dzieje naszych powstań, ukoronowane Powstaniem Warszawskim, są „działami stopniowej demokratyzacji narodowych ruchów wolnościowych” — stopniową przemianą Polski szlacheckiej w Polskę wszystkich warstw społecznych. W politycznej części numeru znajdujemy przedruk znakomitego artykułu Voigta o Polsce, przegląd włoskiego życia politycznego (M. Janiszewski), obraz wewnętrznej sytuacji Słowacji, będącej dziś najbardziej skomunikowanym terenem Europy Środkowej, miesięczny przegląd wydarzeń, oraz streszczenie rozwoju sytuacji politycznej na Dalekim Wschodzie.

Reportaż T. Zajączkowskiego o sytuacji Polaków w Niemczech zasługuje na powtórzenie przez pisma polskie — los owej rzeszy bezdomnych, dość dziwnie traktowanych przez władze amerykańskie nieorientujące się w polskiej sytuacji, jest wręcz tragiczny.

W obszernym dziale kulturalnym znajdujemy interesujące informacje o dawnej „Akademii im. Mickiewicza w Bologni”, artykuł Sandelewskiego o Rossini, syntetyczny szkic C. Verdianego o sztuce włoskiej popularyzatorski artykuł Kościalkowskiego o malarstwie. Z recenzji zasługują na wyróżnienie uwagi o „Filozofii romantyzmu polskiego” Brzozowskiego, wydanej niedawno w Bibliotece „Orla Białego”, a z poezji — wiersze A. Międzyrzeckiego. Całości numeru dopełniają szkice folklorystyczne z życia narodów między-morza bałtycko-czarnomorskiego. Byłoby pożądane, aby miesięcznik „Kresowej” znalazł się w sprzedaży w ośrodkach polskich na Środkowym Wschodzie.

— **„Mała Kronika”**, nowe pismo polskie. Nakładem Oddz. Kult. i Prasy 2 Korpusu zaczął ukazywać się we Włoszech dwutygodnik pn. „Mała Kronika”. Pismo, jak można sądzić z pierwszych dwóch numerów, ma charakter bardzo popularny i zapewne jego zamierzeniem jest dostarczenie rozrywkowy jak najszerzemu kołu czytelników. Krótkim felietonem i artykułom towarzyszą drobne wiadomości ze świata, humor i ilustracje. W drugim numerze spotykamy m. inn. felieton G. Morcinka o Paryżu i Rzymie.

— **„Ochotniczka”**, miesięcznik PSK przynosi

w styczniowym numerze m. inn. interesujące oświetlenie nastrojów antysemitycznych, powstających w Polsce, — pióra R. Wragi, oraz fel. G. Gustawa Morcinka pt. „Mój Rzym”.

— **„Przegląd prawniczy”**. Nakładem „Przeglądu prawniczego” R.P. w Palestynie ukazał się nowy zeszyt „Przeglądu Prawniczego”, przynosząc m. inn. obszernie uwagi o nowelizacji prawa o ustroju sądów powszechnych. Warto również podkreślić rozważania ustrojowe St. Merczyńskiego o Konstytucji Marcowej, o zmianie Konstytucji z dnia 2 sierpnia 1926 r. i o Ustawie Konstytucyjnej z dnia 23 kwietnia 1935 r.

## MUZYKA

— **Straty muzyki polskiej**. Podczas wojny zmarli: ks. Gieburowski, Guttry, Heintze, Mayzner, Natanson, Rudnicki, Szopski i Urstein. Z ręki niemieckich siepaczy zginęli: Dobroszycka, Freiheiter, Gadomski, Knabe, Köffler, Neuteich, Rosenbaum, Trzonek, Skowroński. Podczas Powstania zginął Bender i Pulikowski, w szeregach walczących padł Tadeusz Padlewski.

— **Roman Palester** był już uważany za ofiarę wojny. Ostatnie wiadomości z Kraju podają, że żyje i pracuje. Podczas wojny napisał dwie symfonie. Rękopis pierwszej z nich spłonął podczas Powstania Warszawskiego. Druga była wykonana niedawno w Krakowie. Palester posiada nado w tece operę, której libretto opiera się na głównej powieści W. Berenta „Żywe kamienie”.

— **Sukces Grzegorza Fitelberga**. Grzegorz Fitelberg, stały dyrygent Filharmonii Warszawskiej, a następnie orkiestry Pol. Radia, przebywający obecnie w N. Yorku, został zaproszony na sezon 1946/47 na stanowisko dyrygenta największej holenderskiej orkiestry symfonicznej w Hadze. Ponadto przewidziane są koncerty w Amsterdamie i Rotterdamie, oraz występy gościnne w Belgii i Anglii.

Fitelberg znany jest słuchaczom holenderskim z r. 1940, kiedy dyrygował w Holandii cyklem koncertów. Już wówczas otrzymał obecnie powtórzoną propozycję, ale inwazja niemiecka zmusiła go do opuszczenia Holandii.

— **Muzycy w Polsce**. W Krakowie daje koncerty orkiestra symfoniczna, której głównym dyrygentem jest Z. Lutoszewski; obok niego jednak stają przy pulpicie także: Andrzej Malawski, Kazimierz Wilkomirski, Andrzej Panufnik, Tadeusz Wilczek. Koncertuje Zofia Umińska, z pianistów występowali: Drzewiecki, J. Elker, S. Szpinalski.

W programach często znajdują się utwory Szymanowskiego, wykonano „Uwerturę tragiczną” Panufnika oraz „Grunwald” Maklakiewicza.

Teatr i sala koncertowa, przedstawiając dorobek oryginalnej polskiej kultury, mogą odegrać ważną rolę w dzisiejszych dramatycznych czasach, przeżywanych przez kraj, o ile — oczywiście — nie staną się narzędziem obcej propagandy.

## TEATR

— **Teatr 2 Korpusu**. Teatr dramatyczny 2. Korpusu Polskiego we Włoszech jest dziś właściwie reprezentacyjnym teatrem polskim, działającym w warunkach pełnej swobody słowa. Ze spól teatru powiększył się o aktorów polskich odnalezionych w obozach jeńców i obozach koncentracyjnych, repertuar zaś sięga po poważne pozycje dramatu polskiego i obcego.

Dwie ostatnie premiery Teatru — to „Mirandolina” Goldoniego oraz „Słuby panińskie” Fredry. „Mirandolinę” reżyserował Wacław Raduski, dekoracje skomponował Zygmunt Turkiewicz. Wykonawcami byli: Ir. Brzezińska, Baczynska, Jakubówna, Blichewicz, Dorwiski, Bożyński, Korab, Karpowicz. Premiera była gorąco przyjęta przez prasę wojskową, a wybór sztuki włoskiego klasyka wzbudził zainteresowanie w włoskich kręgach literackich.

Następna premiera były fredrowskiej „Słuby panińskie” w reżyserii Leny Zelwerowicz, uwolnionej w Niemczech córki znakomitego aktora i reżysera, Al. Zelwerowicza. Dekoracje i kostiumy zaprojektował T. Orłowicz. Główne role otrzymały następująca obsada: Klara (Ir. Brzezińska), Aniela (J. Andrzejewska), Gustaw (Zb. Blichewicz), Albin (J. Orchoń), Dobrońska (W. Zbierzchowska), Radost (K. Dorwiski).

— **Teatr 2 Korpusu**. Teatr dramatyczny 2. Korpusu Polskiego we Włoszech jest dziś właściwie reprezentacyjnym teatrem polskim, działającym w warunkach pełnej swobody słowa. Ze spól teatru powiększył się o aktorów polskich odnalezionych w obozach jeńców i obozach koncentracyjnych, repertuar zaś sięga po poważne pozycje dramatu polskiego i obcego.

— **Teatr 2 Korpusu**. Teatr dramatyczny 2. Korpusu Polskiego we Włoszech jest dziś właściwie reprezentacyjnym teatrem polskim, działającym w warunkach pełnej swobody słowa. Ze spól teatru powiększył się o aktorów polskich odnalezionych w obozach jeńców i obozach koncentracyjnych, repertuar zaś sięga po poważne pozycje dramatu polskiego i obcego.

— **Teatr 2 Korpusu**. Teatr dramatyczny 2. Korpusu Polskiego we Włoszech jest dziś właściwie reprezentacyjnym teatrem polskim, działającym w warunkach pełnej swobody słowa. Ze spól teatru powiększył się o aktorów polskich odnalezionych w obozach jeńców i obozach koncentracyjnych, repertuar zaś sięga po poważne pozycje dramatu polskiego i obcego.

— **Teatr 2 Korpusu**. Teatr dramatyczny 2. Korpusu Polskiego we Włoszech jest dziś właściwie reprezentacyjnym teatrem polskim, działającym w warunkach pełnej swobody słowa. Ze spól teatru powiększył się o aktorów polskich odnalezionych w obozach jeńców i obozach koncentracyjnych, repertuar zaś sięga po poważne pozycje dramatu polskiego i obcego.

— **Teatr 2 Korpusu**. Teatr dramatyczny 2. Korpusu Polskiego we Włoszech jest dziś właściwie reprezentacyjnym teatrem polskim, działającym w warunkach pełnej swobody słowa. Ze spól teatru powiększył się o aktorów polskich odnalezionych w obozach jeńców i obozach koncentracyjnych, repertuar zaś sięga po poważne pozycje dramatu polskiego i obcego.

Zygmunt Nowakowski

— **Brzezińska i Blichewicz we Włoszech**. W T. Dramatycznym gra już odnaleziona niedawno w Niemczech, młoda, utalentowana artystka polska, Irena Brzezińska.

Brzezińska ukończyła w r. 1939 Państw. Inst. Sztuki Dramatycznej, — tzw. PIST — w Warszawie i wraz ze swymi kolegami: Duszyńskim, Szaflarską i Bielicką została zaangażowana do T. Polskiego na Pohulance w Wilnie, pozostającego wówczas pod dyktando Kielanowskiego. W Wilnie przetrwała obie okupacje, po czym przedostała się do Warszawy. Walczyła w Powstaniu Warszawskim, jako żołnierz AK, po czym po kapitulacji Warszawy, znalazła się w obozie w Niemczech. Dziś witamy z radością odzyskanie przez polską scenę utalentowanej artystki. Do najlepszych ról Brzezińskiej należą: Toni w „Tessie”, Hanka w „Moralności Pani Dulskiej” i popisowa rola Chimeny w „Cydzie”. Zresztą już na dorocznym popisie PIST-u w Warszawie zwróciła Brzezińska uwagę krytyki wykonaniem fragmentu z „Luku Triumfalnego”.

Do Teatru 2. Korpusu trafił również kolega Brzezińskiej z „Pohulanki” — Zbig. Blichewicz, jeden z najzdolniejszych absolwentów PIST-u. W Wilnie kreował on m. inn. główną — obok kapitana Nuta — rolę męską w „Zeglarzu” Szaniawskiego.

Równocześnie otrzymujemy wiadomości o losach innej młodej artystki z T. Polskiego w Wilnie. Mianowicie Danuta Szaflarska, która tak pięknie zadebiutowała na scenie wileńskiej w sezonie 1939/40, przetrwała szczęśliwie wojnę i gra obecnie w Teatrze im. Słowackiego w Krakowie. Z. Chmielewski, znakomity odtwórca roli Dauma, wyrzcił się o Szaflarskiej, iż uważa ją za najlepszą „Pannę Maliczewską”, z jaką kiedykolwiek razem grał.

— **Sztuka Hemara w Nowym Jorku**. Jeden z teatrów Broadwayu zapowiada na przyszły sezon premierę sztuki M. Hemara „Cud biednych ludzi”. Sztuka ta była już grana z dużym sukcesem w stolicy Irlandii, w Dublinie.

— **Polska artystka w Hollywood**. Młoda aktorka polska, Anetka Strakaczówna (córka min. Strakacza), która niedawno — pod pseudonimem Anette Sorel — debiutowała w jednym z wielkich teatrów Broadway'u, została zaangażowana przez znanego producenta filmowego, Davida O. Selznicka, do Hollywood.

— **Losy Jana Kurnakowicza**. Świetny aktor, Jan Kurnakowicz, dobrze znany warszawskiej i wileńskiej publiczności, powrócił do Polski z głębi Rosji, gdzie od lat przebywał na zesłaniu. Podczas pierwszego okresu wojny, Kurnakowicz w Wilnie był jednym z filarów T. Polskiego na Pohulance, grając m. inn. w „Tessie” i w „Najszczęśliwszym z ludzi”.

— **Sp. Zygmunt Rakowiecki**. Otrzymałszy wiadomość, że wśród ofiar Powstania Warszawskiego zginął także Zbigniew Rakowiecki, popularny w stolicy aktor komediowy. Swą karierę aktorską Rakowiecki rozpoczął jako amant operetkowy w teatrze „8,15” przy ul. Śniadeckich, po czym przeszedł do „Ateneum” prowadzonego przez Jaracza, gdzie grał w uroczej sztuce francuskiej „Szczęśliwe dni”.

— **Teatry w Polsce**. Łódź jest główną kwartą tzw. „Teatru Wojska”, w którym z aktorów pracują: Romanówna, Barszczewska, Bronisłówna, Zelwerowicz, Brydziński, Kreczmar i inni, a reżyserami są: Osterwa, Zelwerowicz, Wierciński, Kreczmar, Jabłonkówna. Wystawiono „Wesele” i „Fantazego”. Teatr miejski w Łodzi zamierza wystawić „Cyrylika Sewilskiego”.

W Katowicach grano „Zemstę”, „Moralność Pani Dulskiej”, sztukę angielskiego autora, Williamsa, pt. „Zieleni się zboże” oraz komedię Hemara „Jaś u raju bram”. Do Katowic emigruje też ze Lwowa tamtejszy teatr.

W Krakowie grano w tzw. „Starym Teatrze” (J. Ronard-Bujański i A. Pronaszko) „Meza doskonałego” Zawieyskiego, „Teorię Einsteina” Cwojdzkiego, „Dzień jego powrotu” Nałkowskiej, oraz „Cyda” w przekładzie Wypsiańskiego, jako widowisko plenerowe.

Teatr im Słowackiego wystawił m. inn. „Uciekla mi przepióreczka” Żeromskiego, co wywołało gwałtowne ataki krytyki komunistycznej, „Zemstę”, „Dziwczynę z lasu” Szaniawskiego, „Wilki w nocy” Rittnera, oraz nową sztukę J. H. Morstina „Penelopa” — z Jaroszewską w roli tytułowej. W Krakowie m. inn. z dawnej gwardii aktorskiej znajduje się Jerzy Leszczyński. Grał on w starej farisie Ruszkowskiego: „Maż z grzeszności”.

— **„Lilla Weneda” w Warszawie**. W Teatrze Polskim w Warszawie, który rozpoczął swą pracę pod dyktando swego twórcy i wieloletniego dyrektora, Arnolda Szyfmana, wystawiono na otwarcie sezonu „Lillę Wenedę” Słowackiego. Ow tragiczny obraz zagłady oszukanego narodu musi budzić wstrząsające wrażenie w dzisiejszej Warszawie.

## RÓŻNE

— **Bronisław Przyłuski**, poeta poznańskiej grupy „Prom”, autor zbiorów „Badyle” i „Dalekie łaki”, po sześciu latach niewoli niemieckiej znajduje się obecnie w 2. Korpusie. Jeden z ostatnich numerów „Orla Białego” drukuje jego wiersz pt. „Ziemia”.

— **Sp. Jan Rostworowski**. Jeden ze świeżych numerów „Parady” przynosi we wspomnieniach Kruk-Rostańskiego — wiadomości o ostatnim okresie życia i śmierci dziennikarza polskiego, Jana Rostworowskiego, rzymskiego korespondenta „Kurieru Warszawskiego”.

Rostworowski walczył w Narviku, następnie został zrzucony do Polski — a schwytyany przez Niemców trafił do obozu śmierci w Gross Rosen, gdzie go umieszczono między najgorszymi niemieckimi bandytami i zmuszano do pracy w kamieniołomach, w karnym oddziale. Tam go zamęczono, zwłoki spalono w krematorium. W tymże samym obozie przebywał aktor i autor dramatyczny — Roman Niewiarowicz.

W ostatnich numerach, jak zawsze interesującej i bogato ilustrowanej „Parady”, zwracając uwagę reportaże T. Pniewskiego z Niemiec, zdjęcia z życia Warszawy i z polskich obozów cywilnych we Włoszech.

Wydał: Ignacy Pokrywa  
Jerusalem, Hassolel Street No. 9.  
Redaktor: St. A. Balicki  
Drukarnia: The Jerusalem Press Ltd.